

WIERNOŚĆ BOŻEMU OBJAWIENIU I TRADYCJI KOŚCIOŁA

*Bądź wierny aż do śmierci, a dam ci wieniec życia!
To mówi Amen, Świadek wierny i prawdomówny,
Początek stworzenia Bożego (Ap 2, 10 i 3, 14).*

Od zarania dziejów Kościoła nazywano chrześcijan „wiernymi” (*fideles*) w odróżnieniu od „niewiernych”, czyli tych, którzy nie uwierzyli Jezusowi i/lub Jego Apostołom, nie przyjęli lub nie przyjmują nadal Ewangelii Bożej. Chrześcijanin jest człowiekiem „wiernym” najpierw dlatego, że uwierzył Jezusowi i Jego nauce, co sprawiło, że przyjął chrzest, włączając się tym samym w Mistyczne Ciało Jezusa, ale również dlatego, że stara się być nadal wierny Jezusowi i Jego nauce, postępować zgodnie z Jego zaleceniami. Wie przecież dobrze, iż przez swój chrzest stał się niejako „drugim Chrystusem” na ziemi, zespolonym jak najściślej z Jego zbawczą męką i chwalebnym Zmartwychwstaniem. Wie także, a przynajmniej powinien wiedzieć, że spoczywa na nim zaszczytny obowiązek apostołowania, czyli przekazywania innym Dobrej Nowiny o Jezusie Zbawicielu i rozpowszechniania jej po całej ziemi. Jak podkreśla dobitnie Sobór Watykański II, „przykazanie miłości, które jest największym przykazaniem Pana, wszystkich wiernych przynagła do starania się o chwałę Bożą o przyjęcie Jego królestwa oraz o życie wieczne dla wszystkich ludzi, by poznali oni jedyne prawdziwego Boga i Tego, którego posłał, Jezusa Chrystusa (por. J 17, 3). Wszystkim zatem wiernym zlecony jest wspaniały obowiązek współdziałania, by Boska Nowina o zbawieniu została poznana i przyjęta przez wszystkich ludzi na całym świecie” (DA 3).

Czy jednak, przyglądając się bliżej aktualnej rzeczywistości, nie dostrzega się wyraźnie tego, że te tak ważne i istotne dla chrześcijan pojęcia uległy jakby rozmiękczeniu, rozwodnieniu? Sam wyraz „wierny” stał się jakoś wyblakły, pozbawiony treści, a o „wierności” jako

takiej mało kto dzisiaj mówi poważnie i z wewnętrznym przekonaniem. Czyżby autentyczna wierność mieszała się już ludziom z jakimś skrajnym fundamentalizmem, o którym mówi się obecnie często, głośno i z odrazą? Ale przecież nie każdy fundamentalizm musi być skrajny i niebezpieczny, jak to poszczególne redakcje „Communio” starały się ukazać w poświęconym mu specjalnym numerze¹ Czym innym jest bowiem wierność Prawdzie objawionej, a czym innym mocne obstawanie przy własnych przekonaniach, odbiegających niekiedy nawet daleko od tej Prawdy.

Wierność ma różne wymiary: można być wiernym sobie samemu, swoim przekonaniom, zasadom, podjętym dobrowolnie zobowiązaniom. Istnieje wierność ogólnoludzka, chrześcijańska, małżeńska i rodzinna, wierność rycerska, zawodowa, wojskowa. W ogromnej większości tych swoich przejawów czy wymiarów wierność nie oznacza jednak skostnienia, trzymania się niemal na siłę własnego zdania, swoich poglądów, albowiem życie się zmienia, rozwija, pojawiają się wciąż nowe zdobycze, nowe odkrycia historyczne, geograficzne, astrofizyczne, medyczne. Pisano dawniej rylcem, potem jakimś ptasim piórem, w XX w. pojawiły się maszyny do pisania, potem długopisy, wreszcie komputery: o ile wszystkie prace dyplomowe pisałem na odpowiedniej do tego maszynie (wykorzystując przy tym liczne kalki celem automatycznego poniekąd zwiększenia liczby egzemplarzy), to postęp techniki zmusił mnie po latach do przerwania się na komputer, a ten z kolei do wykorzystywania coraz to nowych programów, gdyż stare wychodzą szybko z użycia. Można być „wiernym” swojemu maczanemu jeszcze w atramencie pióru, ale po co i w jakim celu? Czy nie lepiej byłoby je wyrzucić, albo nawet – jeśli ktoś tego bardzo pragnie – zachować wśród „pamiątek” własnych lub rodzinnych? Prawdziwa wierność winna być dynamiczna, rozwojowa, życiowa. A dotyczy to nie tylko warunków i narzędzi pracy, ale także, a nawet przede wszystkim, treści. Przecież człowiek się rozwija, dojrzewa; pogłębia swą wiedzę, spojrzenie na świat. Już św. Paweł pisał, uznając to za rzecz zgoła naturalną i wzorcową poniekąd, o samym sobie: „Gdy byłem dzieckiem, mówiłem jak dziecko, czułem jak dziecko, myślałem jak dziecko. Kiedy zaś stałem się mężem, wyzbyłem się tego, co dziecinne” (1 Kor 13, 11). Natomiast autor *Listu do Hebrajczyków* gani wprost swych adresatów za brak rozwoju intelektualnego i duchowego:

¹ W wersji polskiej poświęciliśmy „Fundamentalizmowi” cały nr 4 z roku 2002.

„mleka wam potrzeba, a nie stałego pokarmu” – stwierdza i wyjaśnia: „Gdy bowiem ze względu na czas powinniście być nauczycielami, sami potrzebujecie kogoś, kto by was pouczył o podstawowych zasadach słów Bożych (...) Każdy, który pije mleko, nieświadom jest nauki sprawiedliwości, ponieważ jest niemowlęciem. Przeciwnie, stały pokarm jest właściwy dla dorosłych, którzy przez ćwiczenie mają władze umysłu zaprawione do rozróżniania dobra i zła” (Hbr 5, 12-14).

W pełni świadomy tej sytuacji, że chrzest daje człowiekowi tylko jakby zaczyn, swoiste „«pierwociny Ducha» (Rz 8, 23), które czynią go zdolnym do wypełniania nowego prawa miłości” (KDK 22), a więc jakby zasiew, który wymaga dla swego wzrostu i rozwoju ustawicznej pielęgnacji, Sobór Watykański II, aktualizując wielowiekowe doświadczenie Kościoła w tej kwestii, z całą mocą podkreślał, iż „wszyscy chrześcijanie mają prawo do wychowania chrześcijańskiego, ponieważ nazywają się dziećmi Bożymi i są nimi, stawszy się nowym stworzeniem dzięki odrodzeniu z wody i z Ducha Świętego. Wychowanie to zdąża nie tylko do pełnego rozwoju osoby ludzkiej, (...) lecz przede wszystkim stara się o to, aby ochrzczeni poprzez stopniowe wprowadzenie w misterium zbawienia z każdym dniem byli bardziej świadomi otrzymanego daru wiary, aby uczyli się czcić Boga w Duchu i prawdzie (por. J 4, 23), zwłaszcza przez uczestnictwo w liturgii; aby stali się zdolni do prowadzenia własnego życia według nowego człowieka w sprawiedliwości i prawdziwej świętości (Ef 4, 22nn); aby doszli w ten sposób do człowieka doskonałego, do miary wielkości według Pełni Chrystusa (Ef 4, 13) i starali się o wzrost Ciała Mistycznego” (DWCH 2).

Każdy człowiek, a tym samym także chrześcijanin, ma wrodzone prawo (i związany z nim analogicznie obowiązek) do rozwoju, a więc i odpowiedniego homogenicznego wychowania. Ważna jest tu niewątpliwie, zwłaszcza gdy chodzi o rozwój duchowy i kwestię wiary, jednorodność, czyli homogeniczność tegoż rozwoju. A polega ona konkretnie na tym, że podaje się treści te same, ale wyrażone w sposób dostosowany do pojętności tego oto odbiorcy. W teologii stosuje się wówczas pojęcie analogii proporcjonalności właściwej, albowiem nasza mowa o Bogu czy do Boga nie może być nigdy jednoznaczna ze względu na zachodzące tu zawsze podobieństwo rzeczy (treści) niepodobnych lub niepodobieństwo rzeczy (treści) podobnych, ale nie może być też wieloznaczna, bo nie wiedzielibyśmy wówczas dokładnie, o czym faktycznie mówimy, ale winna być z natury rzeczy analogiczna

– właśnie ze względu na to podobieństwo lub niepodobieństwo, przy czym wspomniana już proporcjonalność właściwa gwarantuje nam tożsamość treści, pojęć i języka przy równoczesnym różnym ich stopniowaniu. Nie jest to zawsze łatwe i niejednokrotnie nawet teologom nie udawało się dojść do właściwego doprecyzowania pojęć, a dokładniej: do należytego posługiwania się takim właśnie językiem analogicznym, co zniekształcało na swój sposób odbierany lub przekazywany innym obraz danej prawdy wiary.

Ażeby przybliżyć tę kwestię i jaśniej ją wyrazić, podam konkretne przykłady. Oto ksiądz przy okazji wizyty duszpasterskiej dał dzieciom obrazki. Ktoś z rodziny tłumaczy najmniejszemu dziecku, że to „Bozia” (niewłaściwe, dziecięce zdrobnienie!). Niemowlę bierze oczywiście najpierw ten obrazek do ust i stwierdza (odczuwa), że „Bozia jest niesmaczna”, nie nadaje się do jedzenia, daje się także łatwo zgnieść, zmiętosić, pada kilkakrotnie na podłogę, jest pośliniona, łatwo się brudzi... – do niczego się nie nadaje. A przecież jest to faktycznie tylko kawałek zadrukowanego lub pomalowanego papieru! Inny fakt: rodzice lub dziadkowie tłumaczą małemu dziecku, że Bóg wszystko widzi i wszystko słyszy, bo jest wszechobecny... Jest ponadto surowym sędzią, który nagradza za dobre czyny, a karze za złe. Dziecko zakradło się do spiżarki, by coś zjeść lub wylizać jakieś konfitury... Czuje się nieswojo: rodzice nie zauważyli, ale Bóg? Czy za to „przestępstwo” oberwie od Boga? Przecież to było złe! Nie obrywa jednak: nikt go nie karze. Powtarza więc te drobne „występki”, bojąc się początkowo surowego Boga, który wszystko widzi i za zło karze, ale dochodzi krok po kroku do wniosku, że Bóg chyba niedowidzi, może też nie słyszy i że Go po prostu nie ma! Wniosek poprawny brzmiałby: „takiego” (o jakim mówili mi rodzice, dziadkowie...) Boga nie ma! Ale tu pojawia się konflikt wewnętrzny: czyżby rodzice mnie okłamali? Szacunek dla nich (czy dla dziadków) skłania młodego człowieka do wykluczenia tej ewentualności. I następuje poważny kryzys wiary, opisywany szeroko także w literaturze pięknej (np. *Niebo w płomieniach* J. Parandowskiego lub *Pożegnanie z katechizmem* J. Broszkiewicza), typowy dla wieku dojrzewania, kiedy to młody człowiek przechodzi od wiary „cudzej” (czyli opartej na autorytecie rodziców, wychowawców, księdza) do wiary „własnej” (opartej na powadze Boga objawiającego). A to przejście jest nieodzowne, albowiem – jak wspomniałem wyżej – nikt nie może pozostać na poziomie dziecka i każdy winien duchowo (intelektualnie) się rozwijać. Otóż: jeżeli prawdy wiary były przekazywane dziecku prawidłowo, czyli teologicznie (merytorycznie) popraw-

nie, chociaż na odpowiednim dla niego poziomie, to takie nieodzowne przejście z wiary „cudzej” na „własną” może być wprawdzie trudne, ale nie doprowadzi do rozdarcia wewnętrznego i do prawdziwego kryzysu wiary: wierność poznawanej krok po kroku prawdzie zwycięży; jeżeli jednak były wypaczane, dojrzewający rozum każe młodemu człowiekowi je odrzucić jako bezsensowne, nierozumne, sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem i trzeba będzie potem budować swą wiarę od podstaw, od samych jej korzeni. Wypaczanie obrazu Boga i podstawowych treści wiary w ich przekazie dziecięcym i późniejszym okazuje się niewybaczalnym błędem wychowawczym, gdyż skazuje wychowanka na samotne już z reguły odkrywanie Prawdy. Przykładów takiej sytuacji życiowej nie trzeba szukać daleko: są niekiedy rozliczne wokół nas. Zawiodł przekaz prawdy religijnej, zawiodła także – być może – sama teologia. Skoro zaś dzieli się przede wszystkim teologię na dogmatyczną i moralną, postaram się zająć w dalszym ciągu najpierw tymi dwoma jej wymiarami.

1. Wierność Objawieniu i Tradycji Kościoła w teologii dogmatycznej

Od zarania dziejów Kościoła panowało w nim nadzwyczaj głębokie przekonanie, że podstawą jego tożsamości i istnienia jest wierność Chrystusowi, wierność objawionej w Nim i przez Niego prawdzie, wierność Ewangelii, której należało strzec jak źrenicy oka. Każde najmniejsze nawet odchylenie, zboczenie, groziło przecież śmiertelnym niebezpieczeństwem utraty własnej tożsamości. Widać to wyraźnie w Nowym Testamencie, w pismach Ojców Kościoła i w całej Tradycji kościelnej.

Już św. Paweł na różnych miejscach swoich listów stwierdzał, że pojawiają się wciąż ludzie, którzy „filozofują”, dyskutują, wprowadzają jakieś nowinki, albo nawet głoszą „własną” Ewangelię, inną od Chrystusowej. Przestrzegał przed nimi chrześcijan, a swym pełnomocnikom: Tymoteuszowi i Tytusowi, podawał jasne zalecenia dotyczące obrony prawdziwej doktryny. Na samym początku jego *Listu do Galatów* czytamy: „Nadziwić się nie mogę, że od Tego, który was łaską Chrystusa powołał, tak szybko chcecie przejść do innej Ewangelii. Innej jednak Ewangelii nie ma: są tylko jacyś ludzie, którzy sięją wśród was zamęt i którzy chcieliby przekreślić Ewangelię Chrystusową” (1, 6-7). Stąd rodzi się jego niezwykle mocne napomnienie: „Gdybyśmy nawet my lub anioł z nieba głosił wam Ewangelię różną od tej, którą wam głosiliśmy – niech będzie przeklęty! Już to przedtem powiedzieliśmy,

a teraz jeszcze mówię: Gdyby wam ktoś głosił Ewangelię różną od tej, którą od nas otrzymaliście – niech będzie przeklęty!” (w. 8-9).

Może się tu nasunąć uzasadnione w pełni pytanie: Dlaczego Apostoł wypowiada aż tak mocne słowa? Otóż sam Paweł wyjaśnia to natychmiast paroma pytaniami i krótkim dopowiedzeniem: „Czy zabiegam o względy ludzi, czy raczej Boga? Czy ludziom staram się przypodobać? Gdybym jeszcze ludziom chciał się przypodobać, nie byłbym sługą Chrystusa” (w. 10). To zaś prowadzi go do wniosku: „Oświadczam więc wam, bracia, że głoszona przeze mnie Ewangelia nie jest wymysłem ludzkim. Nie otrzymałem jej bowiem ani nie nauczyłem się od jakiegoś człowieka, lecz objawił mi ją Jezus Chrystus” (w. 11-12). Jedną jest tylko Ewangelia: ta Chrystusowa, Boża, a Paweł i inni apostołowie są jedynie jej sługami, i to często „nieużytecznymi” (por. Łk 17, 9).

Podobna sytuacja powtarza się wciąż w Kościele: przeróżni ludzie próbują na swój sposób tłumaczyć Ewangelię, wywołując dyskusje, spory, kontrowersje, co zmusza Kościół do refleksji, modlitwy oraz oficjalnego zabierania głosu zwłaszcza na tzw. Soborach powszechnych. I o ile – trzeba to jasno powiedzieć – takie spory czy kontrowersje były i są dopuszczalne przed danym konkretnym orzeczeniem soborowym, to dopiero publiczne i jawne odrzucenie danego orzeczenia sprawia, że ten ktoś je odrzucający staje się odstępcą, heretykiem, czyli innowiercą (człowiekiem wykluczonym, albo raczej wykluczającym się dobrowolnie ze wspólnoty Kościoła: człowiekiem „niewiernym”). Miarą wierności, względnie prawowierności, staje się też stopniowo zgodność powszechna, wyrażona sformułowaną już przez św. Wincentego z Lerynu († przed 450)² jasną zasadą: „W samym Kościele katolickim trzeba czuwać z największym staraniem, aby za prawdziwe brać to, w co wierzyli wszyscy, wszędzie i zawsze (*quod ubique, quod semper, quod ab omnibus creditum est*). Albowiem katolickie, w mocnym znaczeniu tego słowa, jest tylko to, co ujmuje powszechny charakter wszelkiej rzeczy”³ Zasadę tę sam Wincenty rozwinął, uwzględniając rozwój poznania prawdy w Kościele oraz konieczność jego jednorodności, i podał drugą – przypomnianą przez Sobór Watykański I (1870)⁴ – analogiczną zasadę: „Niech więc wzrasta i na różne sposoby mocno

Commonitorium 2, 5; CCSL 64, s. 149.

³ Cyt. za: B. Sesboüé SJ (red.), *Historia dogmatów*, t. IV: *Słowo Zbawienia*, Kraków 2003, s. 55.

⁴ Sesja 3: *Konstytucja dogmatyczna o wierze katolickiej*, rozdz. IV

się rozwija rozumienie, wiedza oraz mądrość wszystkich razem i każdego z osobna, zarówno poszczególnych ludzi, jak i całego Kościoła, ze wszystkich pokoleń i wieków, ale tylko w swoim rodzaju, to znaczy w tej samej nauce, w tym samym znaczeniu i w tym samym sformułowaniu (*in suo dumtaxat genere, in eodem scilicet dogmate, eodem sensu, eademque sententia*)”⁵

Na ewentualne pytanie: dlaczego już Wincenty z Lerynu zajmował się tą kwestią, odpowiedź będzie dosyć prosta. Prowadząc wnikliwe badania nad rozwojem doktryny chrześcijańskiej, które miały – w jego zamierzeniach – wykazać, że to właśnie anglikanizm jest właściwym, zdrowym pniem Kościoła, od którego odpadały w ciągu wieków różne boczne, zeschnięte już niekiedy, gałęzie, J. H. Newman odkrył wyraźne podobieństwo pomiędzy IV a XVI wiekiem dziejów myśli chrześcijańskiej. Doszedł przy tym do przekonania, że herezje poprzedzające Sobór Nicejski I (325) „były albo dziełem umysłów, które nigdy nie należały do Kościoła, albo dziełem jednostek, których Kościół się wyrzekł. Co więcej, wyznania wiary, które ujmowały tradycję apostołską i które – jedynie one – pozwalały wyjaśniać niezrozumiałe ustępy Pisma, były przeznaczone tylko dla tych, którzy albo stali się chrześcijanami przez chrzest, albo mieli nimi zostać. Owe symbole wiary nie mogły więc być dyskutowane: Pismo, pozbawione klucza, pozostawało księgą zapieczętowaną”⁶ Nic zatem dziwnego, że w tej tak trudnej sytuacji, gdy mnożyły się różne zdania i opinie zwłaszcza na temat Jezusa Chrystusa, a z ust ówczesnych Ojców Kościoła padały krytyczne oceny dotyczące przede wszystkim szerzącego się i rozpowszechnianego także wśród (i przez) biskupów arianizmu, trzeba było uświadomić sobie rolę i obecność obiecanego przez Chrystusa i zesłanego na rodzący się Kościół Ducha Świętego, który – jak zapewniał swych uczniów sam Jezus: „wszystkiego was nauczy i przypomni wam wszystko, co Ja wam powiedziałem” (J 14, 26). Newman odkrył z niemalym zaskoczeniem, że mówiono już wówczas o szczególnym „wycuciu”, czyli o „zmyśle wiary” całej rzeszy wiernych świeckich, co pozwoliło temu czy innemu Ojcu Kościoła, nie wyłączając św. Hieronima, powiedzieć, mając na względzie sytuację panującą w IV wieku, iż „świętsze są uszy słuchających wiernych niż usta nauczających biskupów” Nie oznacza to oczywiście, że wszyscy biskupi błędzili;

⁵ *Commonitorium*, 23; cyt. za: *Dokumenty Soborów Powszechnych*, t. IV (red. ks. A. Baran – ks. H. Pietras SJ), Kraków 2004, s. 904-905.

⁶ Cyt. za: J. Guitton, *Kościół współczesny*, Warszawa 1965, s. 38.

niemniej, zbierając i systematyzując swe wcześniejsze badania, J. H. Newman, już jako rektor katolickiego uniwersytetu w Dublinie i redaktor naczelny pisma „The Rambler”, publikuje w tym piśmie obszerny artykuł: *O konsultowaniu wiernych w sprawach wiary* (1858 r.), który zostanie odczytany przez niektórych jako podburzanie wiernych świeckich przeciw hierarchii kościelnej, a faktycznie uwypukla jedynie miejsce i rangę tychże wiernych w Kościele (łącznie z ich udziałem w potrójnej funkcji Chrystusa). Wyjaśniając zaś swe stanowisko w opublikowanej w 1861 r. nocie: *Ortodoksyjność zbiorowości wiernych w okresie supremacji arianizmu*, Newman stwierdzi dobitnie jako badacz dziejów Kościoła: „Jest rzeczą nie najmniejszej wagi, że chociaż, historycznie patrząc, wiek IV jest wiekiem doktorów, rozświetlony, jak wiadomo, takimi świętymi jak Atanazy, Hilary, dwóch Grzegorzów, Bazyli, Chryzostom, Ambroży, Hieronim oraz Augustyn, z których tylko jeden nie był biskupem⁷, to jednak w takie to świetne dni tradycja Boża powierzona nieomylnemu Kościołowi była proklamowana i podtrzymywana o wiele bardziej przez wiernych niż przez episkopat. (...) W dalszym ciągu obstaję przy tym, że w owym czasie wielkiego zamieszania Boży dogmat o boskości Jezusa Chrystusa proklamowała, umacniała, podtrzymywała i (mówiąc z ludzkiego punktu widzenia) przechowywała o wiele bardziej *Ecclesia docta* niż *Ecclesia docens*; że episkopat w swej masie był niewierny swemu powołaniu, podczas gdy laikat w swej masie był wierny wobec chrztu; że raz papież, innym razem patriarcha, metropolita i inne wielkie stolice, a jeszcze innym razem Synody generalne mówiły, czego nie powinny były powiedzieć, czy popełniały czyny, które zaciemniały i kompromitowały objawioną prawdę. Z drugiej zaś strony właśnie lud chrześcijański stanowił dzięki Opatrzności siłę Kościoła dla Atanazego, Hilarego, Euzebiusza z Vercelli i innych wielkich samotnych wyznawców, którzy bez niego mogli nie wytrwać...”⁸

Te niewątpliwie ostre i zarazem bardzo gorzkie słowa, streszczające poniekąd całe poprzednie wywody Newmana, wymagają choćby krótkiego tylko wyjaśnienia: Zauważmy, że jest to czas przekładania treści wiary także na rozwijający się wówczas mocno język łaciński. Już Apostołowie wykonali wielkie dzieło, głosząc Ewangelię – przekazywaną im przez Jezusa w j. hebrajskim lub aramejskim – po grecku, czyli językiem zrozumiałym dla słuchaczy. Mało kto uświadamia sobie,

⁷ Chodzi oczywiście o Hieronima – Przep. mój, L. B.

⁸ Cyt. za: J. Guittou, dz. cyt., s. 85.

ile trudu i wysiłku wymagało od nich poprawne wyrażenie treści usłyszanej w ich rodzimym języku w całkowicie innym języku, używanym wówczas w całym imperium rzymskim. Po paru stuleciach pojawia się konieczność przekazywania tych samych treści także w j. łacińskim. Pamiętajmy też o tym, że to właśnie Hieronim, który zna znakomicie te trzy czy cztery (łącznie z aramejskim) języki, tłumaczy całe Pismo św. na łacinę (tzw. *Wulgata*) i że np. św. Augustyn zna już tylko łacinę. Kto pracuje obecnie nad tłumaczeniami tekstów trudnych, specjalistycznych, ten wie dobrze, iż są w każdym języku wyrażenia, które nie mają swoich odpowiedników w innym języku, i że w każdym języku pojawiają się wyrazy wieloznaczne (np. polski wyraz „zamek” może oznaczać wielką obronną budowlę, przyrząd do zamykania drzwi na klucz, „zamek błyskawiczny” używany do odzieży, pościeli), w których jedynie kontekst wskazuje na ich właściwe znaczenie. Właśnie w ówczesnych sporach trynitarnych (i chrystologicznych) problem słownictwa odgrywał niebagatelne znaczenie.

Słowa, wyrazy są jednak tylko nosicielami określonych treści. Sama istota sporu wiązała się więc nie tyle ze słowami, które jako narzędzia wyrazu pełniły raczej rolę drugorzędną, choć niebagatelną, ale z samą treścią. A problem był tu centralny, zasadniczy: rozwijające się w politeistycznym świecie pogańskim chrześcijaństwo jest religią monoteistyczną. Kościół przejął w dziedzictwie od Izraela wiarę w jednego jedyne Boga. Jezus nie zmienił w niczym tej wiary, ale ją „wypełnił” („Nie sądzicie, że przyszedłem znieść Prawo albo Proroków. Nie przyszedłem znieść, ale wypełnić” – Mt 5, 17). Przedstawiał się przy tym wielokrotnie jako równy Ojcu (np. „Ja i Ojciec jedno jesteśmy” – J 10, 30) i mówił wiele o Duchu Pocieszycielu, sytuując Go nawet na równi ze Sobą i z Ojcem („Paraklet, Duch Święty, którego Ojciec pośle w moim imieniu, On was wszystkiego nauczy i przypomni wam wszystko, co Ja wam powiedziałem” – J 14, 26; „On Mnie otoczy chwałą, ponieważ z mojego weźmie i wam objawi. Wszystko, co ma Ojciec, jest moje. Dlatego powiedziałem, że z mojego weźmie i wam objawi” – J 16, 14-15). Jezus uczył więc wyraźnie, że ten jedyny Bóg JAHWE jest – powiedzielibyśmy dzisiaj i faktycznie tak mówimy – trójosobowy, trójjedyny, nie jest samotny, lecz jest Wspólnotą Osób. Ale jak to wyrazić wobec wyznawców politeizmu, żeby ich przekonać o tym, iż te wszystkie ich bóstwa są tylko czczym wymysłem ludzkim, a Bóg prawdziwy i jedyny, który się nam objawił, jest zarazem nie tylko jeden i jedyny, ale i „potrójny”, „troisty”? Pojawiają się stopniowo wyrażenia całościowe, łączące: greckie *Trias*, łacińskie *Trinitas*,

nasze polskie *Trójca*, ale są to tylko słowa, pojęcia, którym trzeba dopiero nadać właściwą treść. I te właśnie poszukiwania odpowiedniej formy wyrazu dla tych „Trzech, którzy są Jednym”, powodowały pojawianie się przeróżnych ujęć i pomysłów, przeważnie – jak to odkrył m. in. J. H. Newman – nieudanych. Jeżeli więc tzw. Kościół nauczający (*Ecclesia docens* – jak pisze Newman) błędził tu i ówdzie w wierze, a trwał mimo wszystko przy niej Kościół nauczany (*Ecclesia docta*), to działo się tak głównie dlatego, że ci nauczający poszukiwali odpowiednich form wyrazu objawionej (a tak trudnej do wyrażenia) prawdy wiary, natomiast nauczani czuli (odczuwali), że „coś tu nie gra”, przy czym nie musieli wcale (nie było to przecież ich obowiązkiem!) szukać właściwych ujęć czy wyrazów⁹

Wypada dodać w tym miejscu, że podane przez Wincentego z Lerynu kryterium wierności, czyli prawdziwości głoszonej lub wyznawanej doktryny, znalazło swój wyraz w nauczaniu Soboru Watykańskiego II, który nie zawahał się stwierdzić, iż „ogół wierzących, mających namaszczenie od Świętego (por. 1 J 2, 20 i 27), nie może zbłądzić w wierze i tę swoją szczególną właściwość ujawnia przez nadprzyrodzony zmysł wiary całego ludu, gdy «poczynając od biskupów aż po ostatniego z wiernych świeckich» ujawnia on swą powszechną zgodność w sprawach wiary i moralności. Dzięki twemu zmysłowi wiary, który jest pobudzony i podtrzymywany przez Ducha prawdy, Lud Boży pod przewodnictwem świętego Urzędu Nauczycielskiego – za którym idąc wiernie, już nie ludzkie, lecz prawdziwie Boże przyjmuje słowa (por. 1 Tes 2, 13) – niezachwianie trwa przy wierze raz przekazanej świętym (por. Jud 3); wnika w nią głębiej z pomocą słusznego osądu i w sposób pełniejszy stosuje ją w życiu” (KK 12).

Wracając zaś do zasygnalizowanego w tej wypowiedzi Soboru rozwoju, badanego wnikliwie przez J. H. Newmana jeszcze jako

⁹ Pewną analogią może być wprowadzanie ostatniej, posoborowej odnowy liturgicznej w krajach misyjnych. Kard. A. Kozłowiecki w swoim czasie opowiadał, że gdy utworzył po Soborze w swojej afrykańskiej diecezji komisję liturgiczną, powołał do jej grona dwóch księży tubylczych (bo tylu miał ich wtedy), powierzając im zadanie konsultowania z nim wszelkich wprowadzanych reform. Otóż księża ci (a zaliczano ich dawniej do *Ecclesia docta*) odnosili się często bardzo krytycznie do sugerowanych przez białych misjonarzy innowacji, ale nie zawsze umieli wyjaśnić dokładnie, dlaczego mieli zastrzeżenia (Kozłowiecki ujął to krótko: „Murzyn wie, że śmierdzi, ale nie wie jeszcze, co śmierdzi i dlaczego?”): starał się więc wspólnie z nimi przemyśleć te pomysły i znaleźć powód właściwy do ich odrzucenia. W tej właśnie postawie tubylczych księży można by dostrzec coś z tego „wycucia”, o jakim mówił przed ponad stu laty Newman, a które pod szyldem „zmysłu wiary” znalazło się w doktrynie Soboru Watykańskiego II.

anglikanina¹⁰, trzeba stwierdzić, iż sam Newman dostrzegł pewne kryteria (cechy) jego jednorodności („rozwój prawdziwy w przeciwstawieniu do wypaczeń”) i omówił je wnikliwie, w ujęciu historyczno-chronologicznym, w książce będącej owocem tych jego poszukiwań: *O rozwoju doktryny chrześcijańskiej*¹¹. Na pierwszym miejscu wymienił „zachowanie typu”, czyli wewnętrznej tożsamości głoszonej nauki; na drugim – „ciągłość zasad” (dogmatu, wiary, teologii, a tu przede wszystkim doktryny o Wcieleniu, dotyczącej także sakramentu, łaski, ascezy, złości grzechu, zdolności człowieka do uświęcenia); na trzecim – „zdolność asymilacji” prawdy dogmatycznej; na czwartym – „następstwo logiczne” (przebaczenie, pokuta, zadośćuczynienie, czyściec, uczynki zasługujące, reguła zakonna); na piątym – „uprzedzanie przyszłego rozwoju” (zmartwychwstanie i relikwie, dziewictwo, kult świętych i aniołów, rola Najśw. Maryi Panny); na szóstym – „stosunek zachowawczy wobec przebytego rozwoju” (nauka o Trójcy Świętej, doktryna Krzyża, kult NMP); na siódmym wreszcie – „niewyczerpana energia”. Jest to niewątpliwie oczywiste, że po 160. latach niektóre z podanych przez Newmana przykładów znacznie się zmieniły, albo raczej się uaktualniły, niemniej same zasugerowane przez niego zasady pozostają nadal w pełni miarodajne. Uświadomiono bowiem sobie o wiele mocniej niż dotychczas istnienie „hierarchii prawd wiary”, i to nawet w samym *Credo*, nie mówiąc już o sygnalizowanych także dawniej tzw. wnioskach teologicznych, względnie „teologumenach”, traktowanych jako dosyć miarodajne wyjaśnienie lub uzupełnienie danej prawdy objawionej¹². Nawet redaktorzy najnowszego *Katechizmu Kościoła Katolickiego* starali się wyeksponować ten fakt poprzez zastosowanie sześciu różnych rodzajów czcionki drukarskiej i zobowiązanie wszystkich wydawców krajowych do identycznego jej stosowania, ażeby wizualnie już ukazać, co jest ważne, a co mniej ważne, i odróżnić treści istotne od przeróżnych wyjaśnień, dopowiedzeń, wniosków. Odnoszę jednak wrażenie, że wzrokowe unaocznienie faktycznej hierarchii prawd wiary wymagałoby zastosowania jeszcze kilku innych rodzajów czcionki, albowiem w aktualnym stanie rzeczy umie-

¹⁰ Badania te podjął i uzupełnił na początku XX wieku: F. Marin-Sola, *L'Evolution homogène du dogme catholique*, t. I-II, Fribourg 1924.

¹¹ *An Essay on the Development of Christian Doctrine*, Littlemore 1845 (wyd. polskie: Warszawa 1957, s. 191-459).

¹² Nowsze, bardzo panoramiczne ujęcie tej kwestii, zob. S. Pawłowski SAC, *Zasada hierarchii prawd wiary. Studium ekumeniczno-dogmatyczne na podstawie najnowszej myśli teologicznej (1984–2003)*, Lublin 2004.

szczono na równi wszystkie prawdy zawarte w wyznaniach wiary, w *Dekalogu*, w liturgii i modlitwie Kościoła, gdy tymczasem istnieje między nimi wyraźna gradacja. Często zaś dla tej czy innej grupy wiernych dany konkretny wniosek teologiczny bywa znacznie ważniejszy od tych istotnych (głównych) prawd wiary, albowiem jest bliższy ich sercu, głębiej przeżywany, a niekiedy jakby ich „własny” (konkretny moment z ziemskiego życia Jezusa, eksponowany w duchowości danej rodziny zakonnej, ten czy inny tytuł Maryi, konkretny patron). I wtedy czujność Magisterium Kościoła, na którym spoczywa główny ciężar troski o wierność Objawieniu, jest niezwykle potrzebna¹³

Z siedmiu zasad podanych ponad 160 lat temu przez Newmana szczególnie dwie akcentują mocno co najmniej niektórzy teologowie współcześni: chodzi o anamnezę (pamięć) i prorocstwo. Omawiałem je dosyć wnikliwie już ponad 30 lat temu¹⁴. Najogólniej mówiąc, wierność Objawieniu i tradycji Kościoła wymaga tego, by każdy teolog, czyli człowiek wierzący, który zastanawia się poważnie nad swoją wiarą i własnym doświadczeniem chrześcijańskim w określonym czasie i konkretnej kulturze¹⁵, starał się stać mocno na gruncie przeszłości (sześć pierwszych zasad Newmana), poznawał ją, zgłębiał, wyrażał poprawnie nawet na „swoją sposób”, ale na niej się nie zatrzymywał: siódma zasada Newmana wskazuje na konieczność wychylania się w przyszłość, dopasowywania, poszukiwania dalszej właściwej drogi rozwoju. Stojąc mocno na twardym i pewnym gruncie przeszłości, można niejako drugą nogą próbować możliwości zrobienia kroku do przodu, ale we właściwym kierunku, czyli postawienia tejże nogi na pewnym, bezpiecznym gruncie. Nasza wspólna wiara w ten właśnie sposób się pogłębia i rozwija, ale zawsze „tylko w swoim rodzaju, to znaczy w tej samej nauce, w tym samym znaczeniu i w tym samym sformułowaniu” – jak to akcentował mocno św. Wincenty z Lerynu.

Teologowie zajmujący się dziejami wiary i teologii katolickiej dostrzegali nieraz w historii Kościoła okresy jakiegoś zaciemnienia jednej prawdy wiary, połączonego z mocnym uwypukleniem jakiejś

¹³ Przykładem może być propagowany przez dwa żeńskie zgromadzenia zakonne obraz i kult Maryi-Kapłanki (*Virgo-Sacerdos*). Omówiłem obszernie tę kwestię w publikacji: *Kapłańska godność Maryi* (Studia Teologiczno-dogmatyczne 2), ATK, Warszawa 1979.

¹⁴ Zob. moje artykuły: *Rola i funkcja dogmatu jako środka rozumienia rzeczywistości objawionej*, *Ateneum Kapł.* 79 (1972), 130-141; *Profetyczny charakter teologii*, *Ateneum Kapł.* 82 (1974), 52-68.

¹⁵ Zgodnie z zasugerowaną definicją teologii przez Międzynarodowy Kongres Teologiczny w Brukseli (wrzesień 1970).

innej. Dopiero potem, po latach zastoju, powraca ze zdwojoną niekiedy siłą ta „zapomniana” prawda wiary. Już w starożytności Ojcowie i pisarze kościelni porównywali Kościół do statku płynącego po wzburzonym morzu, miotanego różnymi falami, akcentując przy tym równocześnie rolę wiatru (Ducha Świętego, który „wieje, kędy chce” – por. J. 3, 8) i sternika (Urzędu Nauczycielskiego Kościoła). Okręt na wzburzonym morzu wznosi się na fali i opada: zmieniają się widoki, zmienia punkt widzenia. Raz widzi się lepiej, raz – gorzej, raz – jaśniej, raz – ciemniej. A gdy się zboczyło – na skutek wichury – z obranego kursu, trzeba potem ten kurs wyrównać, obrać właściwy, prowadzący możliwie prosto do zamierzonego celu. Tego wymaga także wierność Objawieniu¹⁶

Nie ulega wątpliwości, że wszystkie objawione prawdy wiary skupiają się jak w źrenicy oka w liturgii. Dlatego też od wielu już wieków, a zwłaszcza od czasów Soboru Trydenckiego, zwykło się traktować liturgię jako jedno ze źródeł wiedzy teologicznej (tzw. *loci theologici* – miejsca teologiczne). Rozwijający się od końca XIX w. ruch odnowy liturgicznej w Kościele wykazał jednak dobitnie, iż niekiedy w braku wyraźnie określonych prawd wiary wprowadzano tu i ówdzie do liturgii te czy inne wnioski teologiczne (*teologumena*), nie zawsze poprawne i właściwe. I dlatego już papież Pius XII w swej głośniejszej encyklice *Mediator Dei* (1947), poświęconej w całości liturgii Kościoła, nadał nowy wyraz i nowe brzmienie tej przyjmowanej dotąd powszechnie zasadzie utożsamiającej liturgię z wiarą (*lex orandi – lex credendi*), twierdząc, iż to wiara powinna decydować o liturgii, a nie odwrotnie (*lex credendi legem orandi statuere oportet*), którą to normę Sobór Watykański II przyjął za własną, wskazując na wielką potrzebę „przystosowanej odnowy liturgii” w wielu konkretnych jej przejawach. To prawda, że wielu źle pojęło te odnowicielskie zalecenia Soboru, „wylewając niejednokrotnie dziecko z kąpielą”, chociaż Soborowi zależało jedynie na oczyszczeniu dotychczasowych obrzędów z pewnych niejasnych, drugorzędnych, a niekiedy także wypaczających tu i ówdzie wiarę naleciałości historycznych. Znamiennym tego przykładem może być cała liturgia zmarłych, która – w braku jasnych rozstrzygnięć doktrynalnych i nie zajmowania się przez całe stulecia tą skomplikowaną dosyć problematyką – ujmowała rzeczywistość śmierci

¹⁶ Omówiłem przed laty te zagadnienia w hasłach opracowanych do *Encyklopedii Katolickiej*, t. IV, Lublin 1983: *Dogmatów ewolucja*, kol. 14-18; *Duch Święty – teologia. Dzieje. W teologii systematycznej*, kol. 283-288.

i zmartwychwstania człowieka w duchu dawnej, średniowiecznej eschatologii, gdy tymczasem ta właśnie dziedzina wiedzy teologicznej zaczęła żywiłowo się rozwijać od momentu wyjawienia przez Piusa XII zamiaru dogmatycznego zdefiniowania prawdy o Wniebowzięciu Maryi. Współcześnie uprawiana eschatologia jest jednym z bardziej wymownych przykładów stosowania podanych wyżej zasad rozwojowych w konkretnym dziale myślenia teologicznego¹⁷

O ile prawdy wiary ogniskują się głównie w liturgii, to Boże nakazy dotyczące moralności życia chrześcijańskiego konkretyzują się właśnie w tym życiu. Obowiązek dochowania wierności Bogu i Kościołowi Go reprezentującemu rozciąga się siłą rzeczy także na to życie.

2. Wierność Objawieniu i Tradycji Kościoła w codziennym życiu chrześcijańskim

Moralność jest dla ludzi – tak zatytułował jeden z czołowych teologów moralistów drugiej połowy XX w., redemptorysta B. Häring, swoją niewielką książeczkę¹⁸ poświęconą w zasadzie kilku aktualnym kwestiom moralnym. „Moralność się zmienia” – mówią nieraz socjologowie i baczniejsi obserwatorzy życia społecznego. Ale czy zmienia się na lepsze, czy na gorsze? – bo zmieniać się może i powinna, zgodnie z podanymi wyżej spostrzeżeniami i zasadami dotyczącymi rozwoju doktryny.

Znane jest przewijające się w Ewangeliach synoptycznych, kierowane do Jezusa pytanie: „Nauczycielu dobry, co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne?” (Mk 10, 17; por. Łk 10, 25; 18, 18). Znana jest też dobrze odpowiedź Jezusa: Zachowuj przykazania! – Które? – Wszystkie, i nie tylko! Bo jest też największe przykazanie: miłości Boga i bliźniego. „To czyń, a będziesz żył” (Łk 10, 28).

Teologowie moralisci często podkreślali, że istnieją dosyć istotne różnice pomiędzy przykazaniami sformułowanymi pozytywnie i negatywnie: o ile mianowicie te ostatnie obowiązują zawsze i wszędzie niemal jednakowo, to przykazania ujęte pozytywnie mają z reguły pewne stopnie gradacji, natężenia. Niemniej jedno i drugie wymagały także od momentu swego zaistnienia nieodzownych dopowiedzi i wyjaśnień, które znajdujemy tuż po nich na kartach *Pięcioksięgu*. Skoro

¹⁷ Omówiłem to szerzej w broszurze: *Eschatologia końca XX wieku*, Siedlce 2001.

¹⁸ Wydaną także w Polsce: Warszawa 1975.

zaś życie jest bardzo zróżnicowane i przynosi wiele niespodzianek, już starotestamentalni Żydzi opatrywali te przykazania wieloma czysto ludzkimi tym razem komentarzami, nakładając niejednokrotnie na „wiernych” nowe „brzemiona”, których sami nie byli w stanie udźwignąć. Jezus dobitnie to im wygarnia: „Biada wam, faryzeuszom, bo dajecie dziesięcinę z mięty i ruty, i z wszelkiej jarzyny, a pomijacie sprawiedliwość i miłość Bożą. Tymczasem to należało czynić, i tamtego nie pomijać. (...) I wam, uczonym w Prawie, biada! Bo nakładacie na ludzi ciężary nie do uniesienia, a sami nawet jednym palcem ciężarów tych nie dotykacie” (Łk 11, 42-46). Całe zaś Jego *Kazanie na Górze* (zob. Mt 5-7) jest jakby jednym wielkim komentarzem do poszerzonego znacznie *Dekalogu*, zdecydowanie go aktualizującym mimo wstępnego mocnego stwierdzenia: „Nie sądzicie, że przyszedłem znieść Prawo albo Proroków. Nie przyszedłem znieść, ale wypełnić. Zaprawdę bowiem, powiadam wam: Dopóki niebo i ziemia nie przemina, ani jedna jota, ani jedna kreska nie zmieni się w Prawie, aż się wszystko spełni” (Mt 5, 17-18). Objawione Prawo Boże jest odwieczne, niezmiennie: miarodajna jest jednak jego Boża, a nie czysto ludzka, interpretacja! Wierność temu niezmiennemu Prawu stała się problemem wysuwającym się w pewnym momencie na plan pierwszy w dziejach Kościoła pierwotnego.

Oto bowiem Apostołowie, głosząc Ewangelię poganom, stanęli wobec problemu: czy należy ich zobowiązywać do zachowywania wszystkich konkretnych przepisów prawa żydowskiego, dotyczących zwłaszcza pokarmów (czystych i nieczystych), świętowania szabat, przestrzegania konkretnych dni postnych. Sprawa była na tyle ważna i poważna, iż zdecydowali się zwołać pierwszy, wzorcowy na przyszłość dla Kościoła, Sobór apostołowski w Jerozolimie, na którym po dłuższej wymianie zdań i opinii zadekretowali uroczyście: „Postanowiliśmy bowiem, Duch Święty i my, nie nakładać na was żadnego ciężaru oprócz tego, co konieczne. Powstrzymajcie się od ofiar składanych bożkom, od krwi, od tego, co uduszone, i od nierządu. Dobrze uczynicie, jeżeli powstrzymacie się od tego” (Dz 15, 28-29). Objawione Prawo Boże obowiązuje wszystkich ochrzczonych, natomiast konkretne zwyczaje i przepisy żydowskie były rzeczą czasową, względną.

Jak jednak później i dzisiaj chrześcijanie mają odróżniać niezmiennie Prawo Boże od jego czysto ziemskiej, ludzkiej interpretacji? Niewątpliwie sięgając w przeszłość (anamneza), zgodnie z wytycznymi podanymi m. in. przez J. H. Newmana: „zachowanie typu”, „ciągłość zasad”, „następstwo logiczne”, „zdolność asymilacji”, „uprzedzanie

przyszłego rozwoju” i – co niezwykle ważne – „stosunek zachowawczy wobec przebytego rozwoju” Albowiem to dynamiczne wybieganie w przyszłość („niewyczerpana energia”) może być poprawne tylko pod warunkiem całkowitej wierności Objawieniu i całej dotychczasowej Tradycji Kościoła. Uleganie chwilowej modzie i uganianie się za poklaskiem nie tylko nie służą właściwemu rozwojowi doktryny – także tej moralnej, ale mogą być symptomem poważnego zagrożenia wierności raz nabytej Prawdzie.

Spośród wielu bardzo aktualnych zagadnień ograniczę się do kilku najważniejszych, związanych poniekąd z pewnym nowym wydarzeniem, jakim było odkrycie przez jedną z sióstr zakonnych, pracującą w parafii Ejszyszki, położonej ok. 70 kilometrów na południe od Wilna przy starodawnym szlaku handlowym prowadzącym z Krakowa do Wilna i traktowanej tym samym jako „handlowe jego przedmieście”, zamieszkiwane wówczas w 80 procentach przez Żydów, w zakamarkach tamtejszej świątyni paru skrzyń z rękopisami kazań, i nie tylko. Zainteresowały mnie w sposób szczególny te właśnie kazania pochodzące z samych początków XIX wieku i po bliższym zapoznaniu się ze sporą ich ilością zasugerowałem też zakonnicy napisanie pracy magisterskiej na temat roku liturgicznego, odczytanego w świetle tychże kazań. Kazania są anonimowe; można więc jedynie przypuszczać, iż jednym z ich autorów mógł być ks. Paweł Kalinowski († 1854), proboszcz tamtejszej parafii i budowniczy kościoła pod wezwaniem Wniebowstąpienia Pańskiego, wznoszonego – jak się tam mówi – przy znacznym wsparciu finansowym miejscowej gminy żydowskiej w latach 1846–1852. Nie umiem w tej chwili powiedzieć, gdzie i w jakich warunkach były głoszone te kazania: czy w samych Ejszyszkach czy też w jakiejś miejscowości sąsiedniej, mającej własną świątynię, a może nawet tu i ówdzie w ówczesnym zaborze rosyjskim. Ważna jest bowiem dla niniejszych rozważań sama ich treść odzwierciedlająca dobrze niemal całą ówczesną teologię.

Poza jak najbardziej poprawnymi teologicznie kazaniem ściśle dogmatycznymi (obchodzone w ciągu roku uroczystości Wcielenia, Bożego Narodzenia, Odkupienia, Trójcy Świętej, Ducha Świętego stawały się dogodną okazją do wyjaśnienia wiernym treści uwypuklanych w tych obchodach prawd wiary) znajdujemy wśród nich liczne wątki z zakresu teologii moralnej, pozwalające odczytać także socjologicznie stan ówczesnego społeczeństwa. Liczne spośród znalezionych kazań można by z powodzeniem nazwać dzisiejszymi „homiliami”, albowiem punktem wyjścia i dojścia jest dla kaznodziei Ewangelia z danej konkretnej Mszy świętej. Można by również je badać pod

kątem językowym, stylistycznym, kaznodziejskim... Pragnę jednak zwrócić szczególną uwagę tylko na zawarte przynajmniej w jednym z nich treści moralne, i to nie wszystkie.

Otóż w jednym z zachowanych dwóch kazań na 13. Niedzielę zwykłą (czyli „w ciągu roku”), kiedy to odczytywano Ewangelię o dziesięciu trędowatych, uzdrowionych przez Chrystusa „w drodze” do kapłanów, przy czym tylko jeden z nich, i to Samarytanin, przyszedł Mu podziękować za cud wyleczenia, autor kazania kojarzy trąd z grzechem i omawia – po odpowiednich przejściach tematycznych – warunki dobrej spowiedzi (pokuty). Na plan pierwszy wysuwa (rzecz niezwykle ważna i wciąż aktualna!) „osobiste przekonanie o własnej grzeszności”, czyli o tym, że jest się grzesznikiem, i wyjaśnia, że podobnie jak w przypadku, gdy się nie uznaje własnej choroby i nie podejmuje siłą rzeczy żadnych środków zaradczych, choroba ta staje się wielkim zagrożeniem dla człowieka, tak się też dzieje w przypadku nieuznawania własnej grzeszności: „nie będzie mieć miejsca pokuta w tym człowieku, który nie uznaje w sobie grzechu, bo taki nie będzie czynić żadnego usiłowania, żeby się uwolnić od niego” Następnie kaznodzieja zachęca słuchaczy, by przed spowiedzią prosili Ducha Świętego o światło, aby w nim mogli jak w zwierciadle ujrzeć wszystkie swoje popełnione grzechy. I zaraz potem nawołuje do zrobienia dobrego, wnikliwego rachunku sumienia: „Pamiętając o tym, że każdy grzech jest zmazą i trądem duszy, zastanawiajcie się, w czym zgrzeszyliście, ile razy i wśród jakich okoliczności? Przebieżcie przykazania boskie i kościelne, i uważcie dobrze, które z tych przystąpiliście. Także zastanówcie się nad siedmioma grzechami głównymi, nad sześciu przeciw Duchowi Świętemu, nad czterema wołającymi o pomstę do nieba i nad dziewięcioma cudzymi i uważcie, czy nie dopuściliście się którego z tych grzechów myślą, mową lub uczynkiem”. Poleca ponadto także zastanowić się nad obowiązkami swego stanu, nad dobrymi uczynkami oraz nad powinnościami względem Boga, bliźniego oraz siebie samego. Dostrzeżone grzechy i niedociągnięcia są bowiem tym trądem sumienia, o jakim mówi Ewangelia, i powodem wstydu, ale też ukazą całą prawdę o nas.

Celowo przytoczyłem kilka zdań dosłownie, albowiem zaskakują one zwięzłością wykładu i dają wprost do zrozumienia, iż kaznodzieja wie dobrze, że wierni słuchacze znają na pamięć te przeróżne kategorie grzechów. Ale skąd je znają? Przecież musieli się znajdować wśród nich ludzie prości, a nawet analfabeci, świątyni katolickich było na tym terenie raczej niewiele, ludność znajdowała się od ponad dwudziestu

lat pod zaborem rosyjskim: gdzie i kiedy uczono tych prostych ludzi katechizmu, i to w tak szerokim wymiarze? I ponadto tak dobrze i dokładnie, że wystarczyło księdzu powiedzieć: „Przebieżcie (w rachunku sumienia) przykazania boskie i kościelne... Także zastanówcie się nad...” – kaznodzieja podaje tylko liczby i rodzaje grzechów. Kto je zna dzisiaj? Pytałem kolegów, teologów: tylko niektórzy coś słyszeli, ale nie umieli ich nazwać ani wyliczyć. Sięgnąłem więc do źródeł historycznych i stwierdziłem, że kaznodzieja czerpie prawdopodobnie swą wiedzę z po-trydenckiego *Katechizmu* zredagowanego przez kard. R. Bellarmina¹⁹, który musiał być z pewnością znany i rozpowszechniony także w języku polskim (oczywiście w formie starodruku). W rozdziale XIX tegoż *Katechizmu*, poświęconym „siedmiu grzechom głównym”, znajdujemy najpierw wyjaśnienie: „Niektóre grzechy dlatego są główniejsze, iż są jakoby źródłami wielu innych grzechów; i te właściwie nazywamy *Głównymi*, a jest ich siedem. Inne dlatego są główniejsze, iż trudniej uzyskać ich przebaczenie; te nazywają się *grzechami przeciwko Duchowi Świętemu*, a jest ich sześć. Inne na koniec są główniejsze dlatego, że są widocznie bardzo wielkie i przeciwne wszelkiej sprawiedliwości i wszelkiemu rozumowi; stąd się też mówi o nich, iż *wołają o pomstę do Nieba*, a jest ich cztery” Następnie mamy tam pytanie Ucznia: „Które to są grzechy Główne?” – i odpowiedź Nauczyciela: „*Pycha, Łakomstwo, Nieczystość, Zazdrość, Obżarstwo, Gniew, Lenistwo*” Kolejne pytanie Ucznia dotyczy samej kwalifikacji tych grzechów: „Dlaczego grzechy te nazywają się głównymi?” – Nauczyciel odpowiada następująco: „Grzechy te nie dlatego nazywają się głównymi, że są śmiertelnymi, bo może być grzech śmiertelny, nie będąc głównym, jako to: bluźnierstwo, zabójstwo; a zaś niektóre grzechy główne nie zawsze są śmiertelne, jako to: Gniew, Obżarstwo, Lenistwo. Lecz nazywają się głównymi dlatego, iż są głową wielu innych, które z nich pochodzą jako gałęzie od pnia, jako strumienie od źródła”²⁰

W dalszym ciągu *Katechizm* wyjaśnia szczegółowo specyfikę każdego z tych grzechów. Z całokształtu tych wyjaśnień dosyć jasno wynika, dlaczego zrezygnowano z biegiem czasu z nazywania tych postaw grzechami, a zaczęto je określać mianem „wad głównych”: nie są to bowiem grzechy same w sobie, ale pewne nastawienia prowadzące

¹⁹ *Wykład nauki chrześcijańskiej, ułożony z rozkazu Klemensa VIII papieża* (przekład polski: Rzym 1844).

²⁰ Tamże, s. 177n.

(niekoniecznie i nie zawsze) do popełnienia tego czy innego grzechu. Niemniej wydany w 1992 r. *Katechizm Kościoła Katolickiego* nazywa je nadal „grzechami głównymi, ponieważ – jak wyjaśnia – powodują inne grzechy i inne wady”, i wylicza je w zmienionej nieco kolejności. „Są nimi: pycha, chciwość, zazdrość, gniew, nieczystość, łakomstwo, lenistwo lub znużenie duchowe” (nr 1866). Widać tu wyraźnie wierność tradycyjnej doktrynie Kościoła, zespoloną z próbą jej zaktualizowania, albowiem wymieniane dawniej „łakomstwo” pokrywa się w naszym myśleniu z „obżarstwem”, natomiast „znużenie duchowe” jest konkretyzacją dotychczasowego „lenistwa”

Stosunkowo krótki rozdział XX²¹ *Katechizmu trydenckiego* został w całości poświęcony grzechom przeciwko Duchowi Świętemu. Nauczyciel wyjaśnia najpierw, że „jest ich sześć, a są następujące:

1. Rozpaczanie o zbawieniu;
2. Zarozumiałe spodziewanie się zbawienia bez zasług;
3. Walczenie przeciwko prawdzie poznanej;
4. Zazdroszczenie bliźniemu łaski Bożej;
5. Uporczywość w grzechach;
6. Ostateczne niepokutowanie”

Na kolejne zaś pytanie Ucznia: „Dlaczego grzechy te nazywają się grzechami przeciwko Duchowi Świętemu?” – Nauczyciel odpowiada: „Bo złość sama jest źródłem tych grzechów, a mianowicie trzeciego z nich, który więcej od innych jest grzechem przeciwko Duchowi Świętemu, a jest wtedy, gdy kto poznawszy prawdę, uporczywie wmawia w siebie i w drugich, iż nie jest prawdą. Grzeszenie przez złość nazywa się grzeszeniem przeciwko Duchowi Świętemu, bo Duchowi Świętemu przypisujemy Dobroć nieskończoną, wręcz przeciwną złości naszej: podobnie jak grzeszenie przez występłą niewiadomość zowie się grzeszeniem przeciwko Synowi Bożemu, bo Jemu przypisujemy Mądrość nieskończoną; a grzeszenie przez ułomność zowie się grzeszeniem przeciwko Bogu Ojcu, bo Jemu przypisujemy Moc nieskończoną” Natomiast specyfikę tych grzechów, polegającą na ich niewybaczalności „ani w tym, ani w przyszłym życiu”, *Katechizm* wyjaśnia następująco: „To, że nie mają przebaczenia ani w tym życiu, ani w przyszłym, jak o tym ostrzega nas Ewangelia święta (Mt XII, 32²²;

²¹ Tamże, s. 184-185.

„Jeśli ktoś powie słowo przeciw Synowi Człowieczemu, będzie mu odpuszczone, lecz jeśli powie przeciw Duchowi Świętemu, nie będzie mu odpuszczone ani w tym wieku, ani w przyszłym”

Mk III, 29²³; Łk XII, 10²⁴). Co się ma rozumieć w ten sposób: iż to przebaczenie jest bardzo rzadkim i trudnym, bo trudno i rzadko się zdarza, iżby ci, którzy wpadają w te grzechy, przyszli do prawdziwej pokuty. Nie masz przebaczenia na te grzechy: jest tu więc powiedziane w sposobie względnym; tak jak się mówi np. nie masz lekarstwa na tę chorobę: co nie znaczy, iż żadnym sposobem wyleczenie nastąpić nie może, lecz znaczy tylko, iż w zwyczajnym biegu rzeczy nie masz wyleczenia” Nietrudno jest zauważyć, że zarówno same nazwy poszczególnych grzechów, jak też podane zaraz po nich wyjaśnienie ich nieodpuszczalności, nie przemawiają jasno i wyraźnie do człowieka dzisiejszego. Nic więc dziwnego, że wzmiankowany już *Katechizm Kościoła Katolickiego* aktualizuje podane dawniej wyjaśnienie słowami: „Miłosierdzie Boże nie zna granic, lecz ten, kto świadomie odmawia przyjęcia ze skruchą miłosierdzia Bożego, odrzuca przebaczenie swoich grzechów i zbawienie ofiarowane przez Ducha Świętego. Taka zatwardziałość może prowadzić do ostatecznego braku skruchy i do wiecznego potępienia” (nr 1864). Również dawne nazwy poszczególnych grzechów wymagają odpowiedniej aktualizacji, która może wyglądać także następująco:

1. Grzeszyć licząc zuchwale na miłosierdzie Boże;
2. Rozpaczać albo wątpić w miłosierdzie Boże;
3. Sprzeciwiać się uznanej prawdzie chrześcijańskiej;
4. Zazdrościć bliźniemu łaski Bożej;
5. Mieć zatwardziałe serce wobec zbawiennych napomnień;
6. Aż do śmierci odkładać pokutę i nawrócenie.

Niezwykle aktualne, chociaż często jakby przemilczane, są wspomniane przez kaznodzieję „grzechy wołające o pomstę do nieba” Cytowany wyżej *Katechizm Bellarmina* omawia je bardzo krótko (w rozdz. XXI): „Jest ich cztery, a są następujące:

1. Zabójstwo dobrowolne (Gen. IV, 10);
2. Grzech cielesny przeciwny naturze (Gen. XVIII, 20. 21);
3. Uciemężanie ubogich, a mianowicie wdów i sierot (Exod. XXII, 22. 23);
4. Zatrzymywanie zapłaty robotnikom (Jak. V, 4)”

„Kto by jednak zbluźnił przeciw Duchowi Świętemu, nigdy nie otrzyma odpuszczenia, lecz winien jest grzechu wiecznego”

²⁴ „Każdemu, kto mówi jakieś słowo przeciw Synowi Człowieczemu, będzie przebaczone, lecz temu, kto bluźni przeciw Duchowi Świętemu, nie będzie przebaczone”

I wyjaśnia, „dlaczego mówimy, iż grzechy te wołają o pomstę do Nieba?": „Dlatego, iż ich niesprawiedliwość jest widoczna i krzycząca”²⁵ Natomiast współczesny *Katechizm Kościoła Katolickiego* nie tylko że podtrzymuje dotychczasową ich nazwę, ale zdaje się wymieniać aż pięć takich grzechów, dodając do powyższych ucisk ludu wybranego w Egipcie: „Wołają więc do nieba: krew Abła (por. Rdz 4, 10), grzech Sodomitów (por. Rdz 18, 20), narzekanie uciemżonego ludu w Egipcie (por. Wj 3, 7-10), skarga cudzoziemca, wdowy i sieroty (por. Wj 22, 20-22), niesprawiedliwość względem najemnika (por. Pwt 24, 14-15; Jk 5, 4)” (nr 1867). Czy jednak tym razem nie wyrażono tych treści zbyt eufemistycznie, łagodząc niepomrotnie ich dawne dosadne brzmienie? To prawda, że tenże *Katechizm* nieco dalej stwierdzi jasno i dobitnie: „Piąte przykazanie ukazuje jako grzech ciężki zabójstwo bezpośrednie i zamierzone. Zabójca i ci, którzy dobrowolnie współdziałają w zabójstwie, popełniają grzech, który woła o pomstę do nieba” (nr 2268). Niemniej w odniesieniu do pozostałych przypadków jego wypowiedzi są bardziej wyważone, delikatne, ostrożne. Tymczasem sam św. Jakub, na którego powołują się oba te *Katechizmy*, wypowiada się bardzo jasno i dobitnie: „A teraz wy, bogacze, zapłaczcie wśród narzekań na utrapienia, jakie was czekają. Bogactwo wasze zbutwiało, szaty wasze stały się żerem dla moli, złoto wasze i srebro zardzewiało, a rdza ich będzie świadectwem przeciw wam i toczyć będzie ciała wasze niby ogień. (...) Oto woła zapłata robotników, żniwiarzy z pól waszych, którą zatrzymaliście, a krzyk żniwiarzy doszedł do uszu Pana Zastępów” (Jk 5, 1-5). O wiele bardziej aktualne jest też niewątpliwie dzisiaj „zatrzymywanie zapłaty robotnikom”, aniżeli brzmiąca jakoś staroświecko „niesprawiedliwość względem najemnika” Jakże często bowiem słyszy się obecnie płacz ciemżonych wdów i sierot, jak wielka jest bezradność tych wszystkich ludzi pracy, którym nie wypłacono od miesięcy należnych im pensji! Czyż nie jest to wielki, głośny i niezwykle bolesny krzyk ludzi domagających się bezskutecznie tej ludzkiej, zwyczajnej sprawiedliwości, krzyk sięgający aż do nieba?

A nazwany tak delikatnie i archaicznie zarazem „grzech sodomitów” czyż nie jest po prostu grzechem homoseksualizmu, który się pojawiał także w czasach Nowego Testamentu i był tak mocno i zdecydowanie napiętnowany przez św. Pawła!? Przypomnijmy sobie

²⁵ Dz. cyt., s. 186.

dla przykładu choć kilka jego wypowiedzi w tej kwestii: „Czyż nie wiecie, że niesprawiedliwi nie posiadą królestwa Bożego? Nie łudźcie się! Ani rozpustnicy, ani bałwochwalcy, ani cudzołożnicy, ani rozwiązli, ani mężczyźni współżyjący z sobą, ani złodzieje, ani chciwi, ani pijacy, ani oszczercy, ani zdziercy nie odziedziczą królestwa Bożego. A takimi byli niektórzy z was” (1 Kor 6, 9-11; por. też 1 Tm 1, 10; Ef 5, 5). A nieco wcześniej: „Napisałem wam w liście, żebyście nie obcowali z rozpustnikami. Nie chodzi o rozpustników tego świata w ogóle (...); musielibyście bowiem całkowicie opuścić ten świat. Dlatego pisałem wam wówczas, byście nie przestawali z takim, który nazywając się bratem, w rzeczywistości jest rozpustnikiem, chciwcem, bałwochwalcą, oszczercą, pijakiem lub zdziercą. Z takim nawet nie siadajcie wspólnie do posiłku” (1 Kor 5, 9-11).

Kaznodzieja polecał także przypomnieć sobie w rachunku sumienia „dziewięć grzechów cudzych” Dawne *Katechizmy* je znały i wymieniały w następującej mniej więcej kolejności: „Grzechów cudzych jest dziewięć: 1. do grzechu radzić; 2. grzech nakazywać; 3. na grzech drugich zezwalać; 4. innych do grzechu pobudzać; 5. grzech drugich pochwalać; 6. na grzech drugich milczeć; 7. grzechu nie karać; 8. do grzechu drugiemu pomagać; 9. grzechu innych bronić” Czytając tę wyliczankę, odnosi się wrażenie, że niektóre przynajmniej czasowniki zachodzą poniekąd na siebie. W pełni słuszne i uzasadnione może być więc nieco inne ich ujęcie w najnowszym *Katechizmie Kościoła Katolickiego*, w którym czytamy: „Grzech jest czynem osobistym. Ponadto, ponosimy odpowiedzialność za grzechy popełniane przez innych, gdy w nich współdziałamy:

- uczestnicząc w nich bezpośrednio i dobrowolnie;
- nakazując je, zalecając, pochwalając lub aprobując;
- nie wyjawiając ich lub nie przeszkadzając im, kiedy jesteśmy do tego zobowiązani;
- chroniąc tych, którzy popełniają zło” (nr 1868).

Wymienione tu grzechy są treściowo te same, ale nieco inaczej pogrupowane, co pozwala jaśniej dostrzec różne rodzaje współdziałania w grzechu „cudzym” Czy jednak znów propagowana obecnie na wszelkie możliwe sposoby tolerancja nie skłoniła autorów tego nowego *Katechizmu* do lekkiego tylko zasygnalizowania tego poważnego w życiu społecznym problemu – tak bardzo aktualnego w dobie obecnej!? Mamy tu więc niewątpliwie przykład wierności, ale jakby trochę okrojonej, unowocześnionej (?). Jeżeli więc na przykład kanon 1398 obowiązującego aktualnie *Kodeksu Prawa Kanonicznego* głosi, iż „kto

powoduje przerwanie ciąży, po zaistnieniu skutku, podlega ekskomunikacji wiążącej mocą samego prawa”, to można i trzeba by nawet nie bez racji zapytać, czy miarodajna jest nadal jego dawna interpretacja, rozszerzająca go wyraźnie na tzw. grzechy cudze; a oznaczałoby to konkretnie, że wykluczeni zostają z Kościoła (czyli ekskomunikowani) ci wszyscy, którzy się przyczynili w ten czy inny sposób do dokonania aborcji. Co powiedzieć w takim razie o tych wszystkich środkach masowego przekazu (gazetach), które reklamują miejsca i lekarzy dokonujących przerywania ciąży: czy nie są już one (oni) ekskomunikowane (-ni) na mocy samego prawa kościelnego, jako że przyczyniają się faktycznie do zabijania dzieci nienarodzonych? A czy niemal podobnym przestępstwem (grzechem cudzym) nie jest tolerowanie, popieranie przeróżnych marszów gejowskich, manifestujących publicznie swe zdecydowanie grzeszne nastawienie? Kościół w takich przypadkach nie może milczeć, albowiem sprzeciwiałby się w ten sposób swej własnej prawdzie i tożsamości. Jakże aktualne w tej sytuacji staje się napomnienie św. Pawła, skierowane poprzez Tymoteusza i Tytusa do każdego nauczyciela prawd wiary: „Zaklinam cię na Boga i Chrystusa Jezusa, który będzie sądził żywych i umarłych, oraz na Jego pojawienie się i na Jego królestwo: głoś naukę, nastawaj w porę, nie w porę, wykazuj błąd, napominaj, podnoś na duchu z całą cierpliwością w każdym nauczaniu. Przyjdzie bowiem chwila, kiedy zdrowej nauki nie będą znosili, ale według własnych pożądań – ponieważ ich uszy świerzbią – będą sobie mnożyli nauczycieli. Będą się odwracali od słuchania prawdy, a obrócą się ku zmyślonym opowiadaniom. Ty zaś czuwaj we wszystkim, znoś trudy, wykonaj dzieło ewangelisty, spełnij swe posługiwanie” (2 Tm 4, 1-5); „Od sekciarza odsuń się po pierwszym lub drugim upomnieniu, wiedząc, że człowiek taki jest przewrotny i grzeszny, przy czym sam na siebie wydaje wyrok” (Tt 3, 10-11). Czyżby w dobie tzw. dialogu ekumenicznego te tak jasne i dobitne wskazania Apostoła Narodów straciły całkowicie na znaczeniu? Przecież sam Sobór Watykański II wypowiedział się w tej kwestii bardzo jasno: „Sposób wyrażania wiary katolickiej żadną miarą nie powinien stać się przeszkodą w dialogu z braćmi. Całą doktrynę należy przedstawiać z pełną jasnością. Nic nie jest tak obce ekumenizmowi, jak fałszywy irenizm, który przynosi szkodę czystości doktryny katolickiej oraz zaciemnia jej właściwy i dokładny sens. Równocześnie należy głębiej i prościej wyjaśniać wiarę katolicką, w taki sposób i takim języku, aby również bracia odłączeni mogli ją właściwie zrozumieć” (DE 11). Czy te wszystkie nasze ustępstwa i „grzeczności” nie grożą

wypaczeniem wiary katolickiej? I czy wierni uważani przez środki przekazu za tzw. integrystów nie czują spontanicznie, podobnie jak ci wierni z IV wieku, o których pisał Newman, że dzieje się coś niedobrego w Kościele, kiedy ten w swoich medialnych przedstawicielach chce iść zbyt pochopnie do przodu?

3. Kwestia dodatkowa: wierność czy nieomylność?

Pytanie to nie jest nowe, a wyraźnie zaczęto je formułować w kontekście sporów związanych z tzw. dogmatem nieomylności papieskiej. Sam wyraz „nieomylność” pojawił się bowiem na gruncie teologii stosunkowo późno, bo dopiero w XIII wieku, i nie odnosił się początkowo wcale do nauczycielskiej funkcji papieża, którą dopiero wtedy zaczęto stopniowo podważać, akcentując coraz to mocniej na Zachodzie wyższość Soboru powszechnego nad papieżem (tzw. koncyliaryzm). To dosyć późne i wcale nie biblijne pochodzenie tego terminu nie przekreśla oczywiście samo przez się możliwości wprowadzenia go do teologii – jako narzędzia podatnego do wyrażenia konkretnej prawdy objawionej. Teologów żyjących i działających mniej więcej sto lat temu raził raczej jego wydźwięk negatywny: „nie(!)-omylność”, zawężający poniekąd, ale i utrudniający zarazem właściwe rozumienie jego znaczenia²⁶. Nie muszę tu dodawać, omówiłem to bowiem obszernie w studium poświęconym w całości tej problematyce²⁷, że w wielogodzinnych debatach poświęconych na Soborze Watykańskim I tej problematyce zwracano niejednokrotnie uwagę na konieczność precyzyjnego posługiwania się tym pojęciem; mówiono na przykład, że nie istnieje „prawda nieomylna”, albowiem prawda jako taka może i winna być z samej swej natury „prawdziwa”, co dotyczy również doktryny jako takiej, o której nie można mówić w żadnym wypadku (a jakże często się to czyni!), że jest „nieomylna”, gdyż nieomylność jest cechą osoby, a nie nauki lub doktryny. Ściśle rzecz biorąc, nieomylny jest tylko Bóg – jak wyznajemy to wprost w naszej wierze, albowiem się nie myli i nikogo w błąd nie wprowadza. Nieomylny może być też Kościół w swoim nauczaniu, ale tylko w tej

²⁶ Poważnym problemem był wówczas sam przekład tego terminu na j. niemiecki, albowiem stosowane wówczas pojęcie „Unfehlbarkeit” oznaczało w ogóle: bezbłądność, a nawet bezgrzeszność... Teologowie starali się więc je zastępować neologizmem „Infallibilität”

²⁷ *Nieomylność encyklik papieskich. Studium teologiczno-historyczne*, ATK, Warszawa 1975.

mierze, w jakiej Bóg użycza mu swej własnej nieomyślności, i w tym zakresie, jaki jest nieodzowny do zbawienia człowieka. Jeżeli Kościół i ludzie w nim działający cieszą się darem (charyzmatem) prawdy (nieomyślności), to tylko w tym zakresie i w tym wymiarze, jaki jest nieodzowny do zachowania jego własnej tożsamości, czyli do przechowywania w stanie nienaruszonym przekazanego mu depozytu wiary (i Objawienia).

Związanego dosyć ściśle z tym doprecyzowaniem problemu: czy ta przekazana Kościołowi przez Boga (a konkretniej: Ducha Świętego) nieomyślność obejmuje także prawdy *implicite* i wirtualnie objawione? – Sobór z 1870 r. nie był w stanie do końca wyjaśnić. O ile jednak w tym pierwszym przypadku (*implicite*) można by było z powodzeniem mówić o prawdzie objawionej jako takiej, albowiem – jak wówczas mówiono – zawartej niewyraźnie (*implicite*) w dwóch przesłankach objawionych, to w odniesieniu do prawdy *wirtualnie* objawionej zdania teologów były podzielone przez całe dziesięciolecia, albowiem mając na uwadze dwie przesłanki: jedną – jak mówili – objawioną i drugą nieobjawioną, jedni (F. Marin-Sola OP, na przykład) uważali, że przeważa zawsze ta pierwsza i tym samym wniosek staje się „prawdą wirtualnie objawioną”, drudzy natomiast (R. Schultes OP) byli przekonani, że ta druga przesłanka (nazywana niekiedy „naturalną”) obniża całkowicie rangę wniosku, któremu nie można żadną miarą przypisać charakteru nadprzyrodzonego.

Nic więc dziwnego, że Sobór Watykański I nie był w stanie zdefiniować jasno nieomyślności Kościoła (jej zakresu, przedmiotu, sposobu działania), a tym samym także nieomyślności papieża. Chcąc jednak po wielomiesięcznych debatach coś powiedzieć na ten temat, ogłosił dogmat „nieomyślności papieża”, który jest – ściśle rzecz biorąc – dogmatem „reprezentacyjności papieża w supozycji nieomyślności Kościoła”, o czym świadczy zastosowana przez Sobór równoważnia: spełniając określone powyżej warunki (trzy lub cztery, w zależności od tego, jak się je liczy: łącznie czy rozłącznie, związane ściśle z nauczaniem *ex cathedra*) papież „cieszy się tą nieomyślnością, jaką Boski Zbawiciel zechciał obdarzyć swój Kościół w definiowaniu nauki wiary lub moralności” Skoro zaś nie wiemy, „jaką” nieomyślnością Chrystus obdarzył swój Kościół, trzeba będzie – jak wyjaśniał to w czterogodzinym przemówieniu wygłoszonym w przeddzień (czyli 17 lipca 1870 r.) uroczystej sesji z udziałem papieża Piusa IX sekretarz Soboru, bp V Gasser – poczekać aż do następnego ewentualnie Soboru, który tę sprawę dokładniej, być może, wyjaśni. To dopiero masowe środki

przekazu, informowane niekiedy „na gorąco” i zgodnie z własnym nastawieniem bardziej „gorliwych” ojców Soboru, wywołały w Kościele przekonanie, jakoby Sobór ogłosił faktycznie dogmat nieomylności papieża, zakładając już z góry, iż wszystko zostało wyjaśnione i powiedziane. Tymczasem Sobór ogłosił rzecz niezwykle ważną, a mianowicie warunki, w jakich papież wypowiada się oficjalnie jako głowa Kościoła, stawiając poniekąd znak równości między jego definitywnymi orzeczeniami dotyczącymi doktryny (ale nie konkretnych spraw – jak to niekiedy błędnie wyjaśniano) wiary lub (a nie „i”, gdyż Sobór świadomie je rozłączył!) moralności. Skala możliwości błędnego wypowiedzania się przez papieża jest więc niesłychanie wielka: polityka ogólnościwiatowa lub krajowa, gospodarka, przemysł, technika, nauki świeckie, zarządzanie Kościołem, nominacje biskupie, granice diecezji, itd. – wszędzie tam papież jest najpierw tym oto konkretnym człowiekiem, niekiedy schorowanym, źle informowanym, mającym własne także przekonania polityczne, gospodarcze, społeczne, religijne, jest ponadto głową Państwa Watykańskiego, występującą w tej właśnie funkcji na arenie światowej, jest wreszcie widzialną głową Kościoła katolickiego, która nie musi (i nie czyni na ogół tego) występować wciąż jako taka. Stąd też ranga jego wypowiedzi bywa bardzo różnicowana, co kolejni papieże starali się często dawać wiernym do zrozumienia, chociaż nie brakowało wciąż takich teologów (i nie tylko), którzy sam podpis papieża pod jakimś listem czy dokumentem traktowali jako „znamię nieomylności”, przypieczętowujące dany dokument. Tak było zwłaszcza z promulgowanym w 1917 r. *Kodeksem Prawa Kanonicznego*, z którego już w dobie Soboru Watykańskiego II trzeba było usunąć wiele kanonów (ponad 600) jako niezgodnych (w różnym oczywiście stopniu) z duchem i nauczaniem tegoż Soboru. Również kolejni papieże starali się wciąż pogłębiać w sobie tę świadomość, że nie są ponad Kościołem, ale w Kościele, i że nie mogą narzucać niczego Kościołowi, ale jedynie strzec wiernie prawdy objawionej i przekazywanej wciąż z pokolenia na pokolenie przez Kościół²⁸

Należy zauważyć w tym miejscu, że Sobór Watykański II podjął wyraźnie kwestię nieomylności papieża i Kościoła, określając najpierw jej przedmiot (zakres), a następnie sposób jej działania. W Konstytucji dogmatycznej o Kościele *Lumen gentium* (25) czytamy: „Ta nieomyln-

²⁸ Nowsze spojrzenie na tę problematykę, zob. K. Schatz, *Prymat papieski od początków do współczesności*, Kraków 2004, s. 227n i 243n.

ność, w którą Boski Odkupiciel zechciał wyposażyć swój Kościół w określaniu nauki wiary lub moralności, ma taki zakres, jak i depozyt Boskiego Objawienia, który ma być ze czcią przechowywany i wiernie przekazywany. Nieomylnością tą cieszy się na mocy swego urzędu Biskup Rzymu, głowa kolegium biskupów, gdy jako najwyższy pasterz i nauczyciel wszystkich wiernych, który swoich braci umacnia w wierze (por. Łk 22,32), ogłasza definitywnym aktem naukę dotyczącą wiary lub moralności. Toteż orzeczenia jego słusznie są nazywane określeniami nie podlegającymi dyskusji same z siebie, a nie na mocy zgody Kościoła, jako że zostały ogłoszone z pomocą Ducha Świętego przyrzeczoną mu w osobie św. Piotra, i dlatego nie potrzebują niczyjej aprobaty ani nie dopuszczają odwoływania się do niczyjego sądu. Wtedy bowiem Biskup Rzymu nie wyraża sądu jako osoba prywatna, lecz jako najwyższy nauczyciel Kościoła powszechnego, któremu przysługuje w szczególniejszy sposób charyzmat nieomylności samego Kościoła, wykląda lub bierze w obronę naukę katolickiej wiary”

To tak istotne wyjaśnienie, którego zabrakło na poprzednim Soborze, można by uznać za sugerowane już wówczas (bp Gasser) nieodzowne jego dopowiedzenie. Zasadnicza kwestia polega jednak na tym, że zwołując Sobór Watykański II, Jan XXIII nadał mu charakter wybitnie pastoralny (a nie dogmatyczny, by nie wywoływać – jak miał nadzieję – żadnych sporów dogmatycznych, a tym bardziej herezji, czyli oficjalnych odejść od Kościoła z powodu ogłoszonej właśnie tej czy innej definicji dogmatycznej): można by więc oczywiście, przy odrobinie dobrej woli, uznać zacytowane dopowiedzenie soborowe jako wyraźne doprecyzowanie zakresu i sposobu działania nieomylności Kościoła, rzutujące siłą rzeczy (co wypukła zresztą sam tekst cytowany) na sposób działania i zakres nieomylności papieża, ale można by także jeszcze czekać na oficjalne zdogmatyzowanie tej konkretnej wypowiedzi.

Zacytowana wypowiedź Soboru mieści się w szerszym kontekście, jakim jest kolegalność apostołskiej misji (i władzy) w Kościele. Sobór zwraca tu szczególną uwagę na biskupów, o których mówi wyraźnie, że „choć poszczególni biskupi nie posiadają szczególnego prawa nieomylności, to jednak głoszą oni nieomylnie naukę Chrystusową wówczas, gdy nawet będąc rozproszeni po świecie, ale z zachowaniem więzów komunii między sobą i z Następcą Piotra, nauczając autentycznie o sprawach wiary i moralności, dochodzą wspólnie do przekonania, że jakieś zdanie powinno być definitywnie uznane. A zachodzi to

w sposób tym bardziej oczywisty wtedy, gdy zebrani razem na Soborze powszechnym są dla całego Kościoła nauczycielami i sędziami w sprawach wiary i moralności, i orzeczenia ich należy przjąć z posłuszeństwem wiary” Sobór dopowiada także rzecz bardzo istotną, dotyczącą przedmiotu i zakresu autentycznego nauczania, a mianowicie: „Kiedy zaś czy to Biskup Rzymu, czy kolegium biskupów razem z nim wydają jakieś ostateczne orzeczenie, czynią to zgodnie z samym Objawieniem, przy którym wszyscy mają obowiązek trwać i do którego mają się stosować. Objawienie to podane na piśmie lub drogą Tradycji, jest przekazywane w całości dzięki prawowitej sukcesji biskupiej, a przede wszystkim staraniem samego Biskupa Rzymu. Dzięki światłu Ducha prawdy jest ono w Kościele święcie strzeżone i wiernie podawane. Zgodnie zaś ze spoczywającym na nich obowiązkiem i powagą sprawy papież i biskupi pilnie dokładają starań, stosując odpowiednie środki, aby badać je jak należy i wyrażać w odpowiedni sposób; nie otrzymują natomiast żadnego nowego objawienia publicznego, które by należało do Boskiego depozytu wiary” (KK 25).

Jeszcze jeden fragment nauczania soborowego wymaga refleksji i krótkiego choćby komentarza. W tymże samym cytowanym już miejscu (KK 25) Sobór wyjaśnia rzecz dotąd bardzo szeroko dyskutowaną, jaką jest tzw. zwyczajne (codzienne) nauczanie Kościoła i papieża (*Magisterium ordinarium*): czy można (rzekomy) dogmat o nieomyślności papieża rozciągnąć także na to magisterium? Wyjaśnienie soborowe jest następujące: „Biskupom nauczającym w komunii z Biskupem Rzymu należy się od wszystkich szacunek jako świadkom Boskiej i katolickiej prawdy; wierni zaś powinni zgadzać się ze zdaniem swojego biskupa w sprawach wiary i moralności, wyrażonym w imieniu Chrystusa, i trwać przy nim w religijnej uległości ducha. Tę zaś pobożną uległości woli i rozumu w sposób szczególny należy okazywać autentycznemu urzędowi nauczycielskiemu Biskupa Rzymu nawet wtedy, gdy nie przemawia on *ex cathedra*; należy mianowicie ze czcią uznawać jego najwyższy urząd nauczycielski i do orzeczeń przez niego wypowiedzianych stosować się szczerze zgodnie z jego myślą i wolą, która ujawnia się szczególnie przez charakter dokumentów bądź przez częste podawanie tej samej nauki, bądź przez sam sposób jej wyrażenia” Sobór nie używa tu wyraźnie pojęcia „wiary” („katolickiej” lub – wprowadzonej do teologii przez J. B. Franzelina – „kościelnej” – *fides ecclesiastica*), ale mówi jedynie o „religijnej uległości” (*religioso animi obsequio*): chodzi oczywiście o „zdanie” (nie: „sprawy”!) wypowiedziane przez biskupa lub papieża, dotyczące „wiary i moralności”, ale nie

mające jeszcze definitywnego i zobowiązującego wszystkich do wierzenia charakteru. O ile w przypadku biskupa miarodajna jest tu jego łączność z papieżem, będąca wyrazem jego wierności Kościołowi, to w przypadku papieża Sobór podał sugerowane od kilkadziesiątu już lat przez teologów kryteria: 1. charakter danego dokumentu; 2. częste podawanie tej samej nauki (przez kolejnych papieży lub przez tego samego papieża); 3. sposób jej wyrażania. Kryteria te – według teologów – trzeba brać łącznie, a nie rozdzielnie; wszystkie zaś wskazują nie na nieomyślność, bo o takiej nie ma tu mowy, lecz na wierność objawionej prawdzie. Czyżby nieomyślność miała być w takim ujęciu jakimś zawężonym bardzo przejawem wierności? Wiązałoby się to wówczas z określonym rozumieniem dogmatu jako orzeczenia ostatecznego (definitywnego), zobowiązującego ponadto do przyjęcia go przez ogół wiernych wiarą boską i katolicką. Czy jednak istnieją takie właśnie orzeczenia? Niewątpliwie, tak! Ale czy nie są one niezmiennie? Zgodnie z powyższymi wywodami (punkt 1) dotyczącymi rozwoju wiary w Kościele, trzeba jasno powiedzieć, iż są niezmiennie w swej treści, ale niekoniecznie w swej szacie słownej, która jest zawsze wyrazem danej kultury umysłowej, konkretnego światopoglądu, języka, itd. I dlatego właśnie można by z powodzeniem zrezygnować z nieomyślności (wciąż trudnej do zdefiniowania) na rzecz szeroko pojętej wierności doktrynalnej, chociaż niewykluczona pozostaje konieczność dokładnego precyzowania nadal doktryny w przypadku różnych jej zagrożeń, zafalszowań, błędnych interpretacji.

Znamienne pod tym względem są zwłaszcza niektóre wypowiedzi Jana Pawła II. Oto przemawiając 6 czerwca 1979 r., podczas pierwszej swojej pielgrzymki do Ojczyzny, do księży zgromadzonych w katedrze częstochowskiej, powiedział m. in.: „Odwołuję się do Listu do kapłanów²⁹, bo to jest pierwsza pełniejsza wypowiedź. Ale i on nie jest jakimś dokumentem o charakterze magisterialnym. Tych dokumentów o charakterze magisterialnym mamy dość, chociażby w nauce Soboru. Chociażby encyklika Pawła VI *Sacri coelibatus*, chociażby w tyłu różnych listach do kapłanów, które prawie każdy papież ogłaszał: i Jan XXIII, Pius XII, Pius XI...”³⁰ Trudno w tym kontekście zrozumieć, dlaczego swój pierwszy List „wielkoczwartkowy”, datowany 8 kwietnia 1979 r. i przeniknięty na wskroś Soborem Watykańskim II, sam Papież traktuje jako dokument „nie-magisterialny”, skoro analogiczne listy

²⁹ Chodziło o list na Wielki Czwartek 1979 roku.

³⁰ Jan Paweł II, *Nauczanie papieskie II*, 1, Poznań 1990, s. 661-662.

swoich poprzedników uważa za „magisterialne”? Czyżby tylko dlatego, że pisał go bardzo osobiście, przemawiając „z serca do serca”, jako ten, który „dla was jest biskupem”, ale „z wami jest kapłanem”³¹? Czy w tej sytuacji kolejne listy Papieża do kapłanów nie będą miały także charakteru magisterialnego? A jaką rangę mają w tym kontekście jego rozważania środowe i niedzielne? Powszechnie traktuje się je w teologii jako przejaw tzw. zwyczajnego nauczania papieża, czyli nadaje się im rangę magisterialną. Czyżby Jan Paweł II nie zamierzał świadomie nadawać takiego oficjalnego charakteru swoim licznym rozważaniom, uznając je raczej za dzielenie się z wiernymi bogactwem swoich własnych, osobistych przemyśleń modlitewnych? Wydaje mi się, że bardziej miarodajną odpowiedź na te i tym podobne pytania zabrał on już wraz ze sobą do grobu.

Z drugiej strony mamy jednak definitywne, przecinające wszelkie debaty i spory, wypowiedzi tego samego Papieża. Gdy anglikanie zaczęli wprowadzać kapłaństwo kobiet, podjął on na nowo, po kilku poprzednich swoich wypowiedziach, ten temat i w datowanym 22 maja 1994 r. bardzo zwięzłym i krótkim liście apostolskim *Ordinatio sacerdotalis* – o udzielaniu święceń kapłańskich wyłącznie mężczyznom”, przywołując całą dotychczasową tradycję kościelną, łącznie z wypowiedziami swoich poprzedników i swoimi wcześniejszymi, stwierdził najpierw dobitnie, iż „choć nauka o udzielaniu święceń kapłańskich wyłącznie mężczyznom jest zachowywana w nieziennej i uniwersalnej Tradycji Kościoła i głoszona ze stanowczością przez Urząd Nauczycielski w najnowszych dokumentach, to jednak w naszych czasach w różnych środowiskach uważa się ją za podlegającą dyskusji, a także twierdzi się, że decyzja Kościoła, by nie dopuszczać kobiet do święceń kapłańskich ma walor jedynie dyscyplinarny. Aby zatem usunąć wszelką wątpliwość w sprawie tak wielkiej wagi, która dotyczy samego Boskiego ustanowienia Kościoła, mocą mojego urzędu utwierdzania braci (por. Łk 22, 32) oświadczam, że Kościół nie ma żadnej władzy udzielania święceń kapłańskich kobietom oraz że orzeczenie to powinno być przez wszystkich wiernych Kościoła uznane za ostateczne” (nr 4). Na stawiane Papieżowi w związku z tym rozstrzygnięciem zarzuty, jakoby był konserwatystą i nie znał ducha czasów, można by z całym spokojem odpowiedzieć, iż jako Polak znał dobrze ten problem, albowiem nie kto inny, ale właśnie polscy mariawici wpro-

³¹ Tamże, s. 355 (354-366). Cytuje tu, nieco je zmieniając, znane słowa św. Augustyna, *Sermo* 340, 1: PL 38, 1483.

wadzili u siebie kapłaństwo kobiet niemal sto lat temu: Polska, uznawana w świecie za konserwatywną, wyprzedziła także pod tym względem świat zachodni, zdobywając własne doświadczenia w tej kwestii.

Równie definitywny charakter mają wypowiedzi Jana Pawła II, dotyczące przerywania ciąży i eutanazji. W datowanej 25 marca 1995 r. encyklice *Evangelium vitae* Papież zwraca najpierw uwagę na stosowane często eufemizmy, zniekształcające prawdziwy stan rzeczy i ludzkie sumienia, i stwierdza, że trzeba wyrażać się w tych tak istotnych dla człowieka problemach jasno i precyzyjnie. Podkreśla przy tym, iż „żadne słowo nie jest w stanie zmienić rzeczywistości: przerwanie ciąży jest – niezależnie od tego, w jaki sposób zostaje dokonane – świadomym i bezpośrednim zabójstwem istoty ludzkiej w początkowym stadium jej życia, obejmującym okres między poczęciem a narodzeniem” (nr 58). Podobnie rzecz się ma z eutanazją: „Aby sformułować poprawną ocenę moralną eutanazji, trzeba ją przede wszystkim jasno zdefiniować. Przez eutanazję w ścisłym i właściwym sensie należy rozumieć czyn lub zaniechanie, które ze swej natury lub w intencji działającego powoduje śmierć w celu usunięcia wszelkiego cierpienia. Eutanazję należy zatem rozpatrywać w kontekście intencji oraz zastosowanych metod” (nr 65). Po tych ustaleniach Papież przechodzi do jasnych i definitywnych orzeczeń. Przywołuje wielowiekową Tradycję Kościoła w danej dziedzinie, aby na tej podstawie sformułować swoje oświadczenie: „Ta wielka jednomyślność tradycji doktrynalnej i dyscyplinarnej Kościoła pozwoliła Pawłowi VI stwierdzić, że nauczanie w tej dziedzinie «nie zmieniło się i jest niezmiennie»³². Dlatego mocą władzy, którą Chrystus udzielił Piotrowi i jego Następcom, w komunii z biskupami – którzy wielokrotnie potępili przerywanie ciąży, zaś w ramach wspomnianej wcześniej konsultacji wyrazili jednomyślnie – choć byli rozproszeni po świecie – aprobatę dla tej doktryny – oświadczam, że bezpośrednio przerywanie ciąży, to znaczy zamierzone jako cel czy jako środek, jest zawsze poważnym nieładem moralnym, gdyż jest dobrowolnym zabójstwem niewinnej istoty ludzkiej. Doktryna ta, oparta na prawie naturalnym i na słowie Bożym spisanim, jest przekazana przez Tradycję Kościoła i nauczana przez Magisterium zwyczajne i powszechne”³³ (nr 62). Podobnie wypowiada się też

Jan Paweł II przywołuje tu dwie wypowiedzi Pawła VI: *Przemówienie do Włoskich Prawników Katolickich* (9 grudnia 1972) i enc. *Humanae vitae* (25 lipca 1968), nr 14.

³³ Tutaj Papież powołuje się na cytowane wyżej teksty z KK 25, dotyczące „nauczania zwyczajnego”

o eutanazji: „Poczyniwszy te rozróżnienia³⁴, w zgodzie z Magisterium moich Poprzedników³⁵ i w komunii z biskupami Kościoła katolickiego, potwierdzam, że eutanazja jest poważnym naruszeniem Prawa Bożego jako moralnie niedopuszczalne dobrowolne zabójstwo osoby ludzkiej. Doktryna ta jest oparta na prawie naturalnym i na słowie Bożym spisany, jest przekazana przez Tradycję Kościoła oraz nauczana przez Magisterium zwyczajne i powszechne”³⁶ (nr 65).

Wypada wreszcie jako na niezwykle cenny i miarodajny drogowskaz w omawianej kwestii zwrócić uwagę na encyklikę Jana Pawła II *Veritatis splendor*. A ponieważ dotyczy ona zasadniczo moralnej nauki Kościoła, pozwolę sobie zacytować niemalże końcowe jej zdania, w których Papież odróżnia zwykłą debatę teologiczną od postawy wiernych wobec oficjalnych wypowiedzi Magisterium Kościoła: „Podczas gdy zgodność lub różnice opinii mogą stanowić normalny przejaw życia publicznego w systemie demokracji przedstawicielskiej, to nauka moralna z pewnością nie może zależeć od przestrzegania określonej procedury: jej treść bowiem nie jest bynajmniej ustalana według zasad i form właściwych dla rozstrzygnięć typu demokratycznego. Odmienność poglądów, wyrażana przez kontestację i polemiki w środkach masowego przekazu, jest sprzeczna z eklezjalną komunią i z prawidłową wizją hierarchicznej struktury Ludu Bożego. Sprzeciwu wobec nauczania pasterzy nie można uznać ani za uprawniony wyraz chrześcijańskiej wolności, ani różnorodności darów Ducha Świętego. Pasterze mają zatem obowiązek reagować nań w sposób zgodny z ich apostolską misją, to znaczy domagać się, by zawsze szanowane było prawo wiernych do poznania nieskażonej i integralnej doktryny katolickiej” (nr 113). Wierność Objawieniu Bożemu i Tradycji Kościoła takiej właśnie postawy od wszystkich wymaga.

Zakończenie: Znak sprzeciwu

Niezwykle wysoko oceniony przez znanego biblistę polskiego, ks. E. Dąbrowskiego³⁷ znakomity życiorys Jezusa, napisany przez wybitnego biblistę włoskiego G. Ricciotti’ego, kończy się panoramicznym

³⁴ Papież odróżnił wcześniej eutanazję od „uporczywej terapii” wyjaśniając dokładnie różnice, jakie zachodzą między nimi.

³⁵ Papież podaje tu w przypisie liczne dokumenty kościelne, poczynając od Piusa XII.

³⁶ Mamy tu analogiczne do poprzedniego odwołanie się do KK 25.

³⁷ Por. ks. E. Dąbrowski, *Słowo wstępne. Prolegomena do „Życia Chrystusa”* w: G. Ricciotti, *Życie Jezusa Chrystusa*, Warszawa 1954, s. 13-32.

„spojrzeniem na całość”, w którym autor ukazuje Jezusa jako prawdziwy i wciąż żywy „znak sprzeciwu”³⁸ Ówczesna cenzura komunistyczna odrzuciła całe to zakończenie aktualizujące mocno ustawiczną walkę „świata” z Jezusem. Ale – o dziwo! – nie ma też tego zakończenia w „jubileuszowym” wydaniu tej tak wartościowej pozycji z roku 2000 (Warszawa, „Adam”). Czyżby ta sama cenzura działała nadal? chociaż w inny sposób? Ricciotti wykazuje bowiem dobitnie na samym końcu swego dzieła, iż „nikt z żywych nie jest tak żywy, jak Jezus”, który jest wciąż wyszydzany, zabijany i mordowany w swoich „świadkach” (męczennikach) oraz zwalczany na wszelkie możliwe sposoby. „Taktyka jest stara – pisze autor. Już faryzeusze chcieli zatrzeć wszystko, co dotyczyło Jezusa: fakty, naukę, Kościół, a nawet Jego zimne zwłoki, kiedy to drżąc ze strachu pieczętowali je w grobie, stawiając wokół straże. Po faryzeuszach Jezus tysiące już razy bywał usuwany z powierzchni ziemi i opieczętowywany w grobie, przy którym – stosownie do czasów – stawały w roli straży grobowej państwa albo... wiedza, demokracja albo... naród” Również „Jego instytucja zdaje się być ciągle w stanie konania, w jakim znajdowało się Jego ciało przybite do krzyża. Przed Jezusowym Kościołem stoi triumfujący świat i wpatruje się w jego agonię, jak niegdyś triumfujący najwyżsi kapłani stali u stóp Jego krzyża. A tymczasem ta konająca na pozór instytucja jakimś przedziwnym zrywem wyrasta i gałęziami swymi obejmuje stopniowo cały świat. Ale przedtem musiały upłynąć trzy wieki na prześladowaniach i rzeziach, trzy wieki, które zdawały się przedłużać agonię krzyża i być niejako odtworzeniem owych trzech dni przebywania w Grobie. Po trzystu bowiem latach państwo świeckie stanęło oficjalnie po stronie Jezusa. Niemniej królestwo tego świata, jak z tego widać, nie jest jeszcze zwyciężone i walka, chociaż w formie cokolwiek zmienionej, trwa nadal, tak samo zacięta, jak przedtem. Jezus, względnie Jego Kościół, w historii myśli ludzkiej urasta coraz bardziej na jakiś wielki «znak sprzeciwu». Jego paradoksalną i niesłuchanie trudną naukę bardzo wielu przyjmie i wprowadzi w życie z największym umiłowaniem i bezgranicznym zaparciem siebie, ale wielu innych – odwrotnie – pogardzi nią z nieustępliwą zaciętością i zniechęceniem ją z niesłabnącą nigdy wściekłością. I tak można powiedzieć, że około tego «znaku sprzeciwu» skoncentrowały się wszystkie najbardziej świadome wartości ludzkie: jedne, by Go uwielbiać; inne, by Go podeptać.

³⁸ Por. G. Ricciotti, *Vita di Gesu Cristo*, Roma 1949 (wyd. 12), s. 773-779.

W tej szalonej walce wrogowie posuwają się nierzadko do podstępu i oszustwa. Niekiedy zorganizowane ich zastępy podnoszą sztandary całkowicie podobne do Jezusowych, głoszą także hasła zasłyszane od Jezusa: braterstwo, altruizm – pojęcia całkowicie obce poddanym tego świata. Ale podstęp nie trwa długo: odmienny głos i akcent zdradzają szybko oszustwo.

Jest rzeczą oczywistą, że dziś Jezus wobec ludzkości jest bardziej żywy niż kiedykolwiek. Wszyscy Go potrzebują, albo by Go miłować, albo by Go przeklinać, ale obejść się bez Niego całkowicie nie mogą. (...) Jezus jest zawsze kochany i zawsze przeklinany”

Celowo przytoczyłem te dłuższe fragmenty z oryginału, albowiem polski czytelnik tego znakomitego dzieła G. Ricciotti'ego nawet się nie domyśla, że kończy się ono tak wielkim zaktualizowaniem omawianej problematyki (ziemskiego życia Jezusa Chrystusa). Ale przytoczyłem je także dlatego, że pasują one jak najbardziej do omawianego tematu wierności. Już w *Dziejach Apostolskich* (9, 4-5) czytamy, że w drodze do Damaszku Szawel, który „ciągle jeszcze siał grozę i dyszał żądzą zabijania uczniów Pańskich” (9, 1), usłyszał nagle dziwny głos: „Szawle, Szawle, dlaczego Mnie prześladujesz? Kto jesteś, Panie? – powiedział. A On: Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz” Sam Jezus utożsamiał się tutaj ze swoimi wiernymi, z Kościołem, z czego wyraźnie wynika, że również Kościół jest i powinien być wierny Jezusowi aż do śmierci. Los Jezusa staje się siłą rzeczy losem Jego Kościoła. W trakcie Ostatniej Wieczerzy Jezus mówił wprost o tym swoim uczniom: „Jeżeli was świat nienawidzi, wiedźcie, że Mnie wpierw znienawidził. Gdybyście byli ze świata, świat by was kochał jako swoją własność. Ale ponieważ nie jesteście ze świata, bo Ja was wybrałem sobie ze świata, dlatego was świat nienawidzi. Pamiętajcie o słowie, które do was powiedziałem: «Sługa nie jest większy od swego pana». Jeżeli Mnie prześladowali, to i was będą prześladować. Jeżeli moje słowo zachowali, to i wasze będą zachowywać. Ale to wszystko wam będą czynić z powodu mego imienia, bo nie znają Tego, który Mnie posłał” (J 15, 18-21).

Przed laty, gdy zastanawiałem się razem z moimi uczniami z technikum nad dziejami Kościoła, doszliśmy wspólnie do wniosku, że Kościół Chrystusowy nie może nie być prześladowany. Owszem, nie musi być wciąż na całej ziemi jednakowo prześladowany, jeżeli jednak przestaje być prześladowany, winien sam zastanowić się głęboko nad tym, czy jest jeszcze wierny Jezusowi: „Jeżeli Mnie prześladowali, to i was będą prześladować” Może stara się za bardzo ułożyć jakoś po

ludzku swe stosunki z władzą państwową? A może nie głosi otwarcie całej prawdy Jezusowej, decydując się na przeróżne ustępstwa i kompromisy w imię niewłaściwie rozumianego pacyfizmu lub irenizmu? Tymczasem postawa samego Jezusa jest jasna, bezkompromisowa: „Czy myślicie, że przyszedłem dać ziemi pokój? Nie, powiadam wam, lecz rozłam” (Łk 12, 51); „Nie sądzcie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz” (Mt 10, 34); „Przyszedłem ogień rzucić na ziemię i jakże pragnę, ażeby już zapłonął!” (Łk 12, 49). Czyż miarą wierności Chrystusowi i Jego Ewangelii nie jest bycie znakiem sprzeciwu wobec „świata” rozumianego po Janowemu³⁹, a więc także jako miejsce szczególnej działalności diabelskiej, wrogiej Bogu i Jego panowaniu, bo inspirowanej wciąż przez „władcę tego świata” (J 12, 31; 14, 30; 16, 11)? Mimo wielu udręk, posądzeń i pomówień, jakie ich spotykają, wierzący w Chrystusa dobrze wiedzą, iż „rzeczy tego świata” przemijają, lecz chwała Pańska „trwa na wieki, a wierność Jego przez pokolenia” (Ps 50, 5). Mają też głęboko w swych sercach zakodowane słowa Jezusa: „Na świecie doznacie ucisku, ale odwagi! Jam zwyciężył świat” (J 16, 33). Wiedzą bowiem dobrze, iż powinni być w każdej sytuacji życiowej „solą dla ziemi” i „światłem świata” (Mt 5, 13-14).

³⁹ Por. zwł. ks. F. Gryglewicz, *Janowy stosunek do świata*, w: *Odpowiedzialni za świat* (red. ks. L. Balter), Poznań 1982, s. 25-33; ks. F. Cegielka SAC, *Chrześcijanin w świecie*, w: tamże, s. 142-152; kard. K. Wojtyła, *Konsekracja świata. Granice autonomii doczesności*, w: tamże, s. 206-215.